ROK VII. CZERWIEC — 1931. Nr. 6.

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW

MIESIĘCZNIK

TREŚĆ.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Moniuszki 3a

Od Administracji.

Szanownych Czytelników prosimy o opłacenie zaległej prenumeraty. W dzisiejszych trudnych czasach musimy zdobyć się na czynne (nie słowne tylko) poparcie prasy katolickiej.

Prenumeratorom, którzy do 25 czerwca nie zapłacą za I kwartał r. b. zmuszeni będziemy wstrzymać wysyłkę numerów.

Ważne dla Przew. Duchowieństwa.

Ks. T. Dąbrowski: 64 nauk majowych o litanji loretańskiej . . . . zł. 7.20
Ks. J. Kotebski: Homilje do dzieci szkół ludowych . „ 4.80
Ks. A. Kopyciński: Dokąd dążymy . . . „ 2.50
Ks. Arcb. Z. Feliński: „Pamiętniki" cz. I 1822—1851, cz. II 1851—1883, 2 tomy . . . . „ 12.00
Ks. Bp. J. Pelczar: Pasterz w/g Serca Jezusowego czyli ascetyka pasterska . . . . „ 6.00

Do nabycia w Księgarniach św. Wojciecha i na składzie: **Warszawa, Zórawia 16 m. 7.**

Dochodem ze sprzedaży dysponuje zarząd Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi.

PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18.30 m. do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo.

Ojciec św. w obronie Akcji Katolickiej

Okazuje się, że traktat lateraneński nie rozstrzygnął wszystkich trudności istniejących między Watykanem a Kwirynałem. Wprawdzie zakończony został od lat wielu zadawniony spór, wywołany zbrojnym zagarnięciem Rzymu, uznana przez Włochy suwerenność Stolicy Apostolskiej, a nowy konkordat nadaje Kościołowi wszelkie niezbędne prerogatywy prawne i duszpasterskie. Wszystko to jednak nie daje jeszcze dostatecznej gwarancji i panowania praw Kościoła ze względu na obecny system rządzenia panujący we Włoszech.

Musimy pamiętać, że na półwyspie Apenińskim rządzi wszechwładnie dyktatura faszystowska, oparta na zasadach nacjonalizmu. Nacjonalizm zaś integralny jest pewnego rodzaju wykończonym systesem religijno-filozoficznym, opartym na przesłankach materjalistycznych. Alfą i omegę tego systemu jest swoiście pojęte dobro Narodu, a narzędziem do realizacji tego dobra — Państwo. Stąd wypływa fakt bardzo charakterystyczny, mn. tam, gdzie nacjonaliści dochodzą do władzy, stają oni na stanowisku omnipotencji państwa i pod tym względem istnieje nawet w praktyce pewne pokrewieństwo między nimi, a socjalistami.

I jak średniowieczni Gibellini pragnęli papieża podporządkować władzy cesarskiej i stworzyć na zachodzie coś w rodzaju cezarapapizmu (tendencje te znalazły później swoje ujście w protestantyzmie, a zwłaszcza anglikaniźmie), tak dzisiejsi faszyści oczarowani magicznym dźwiękiem „Italia", której dobro pojmują w swoisty, a bardzo często powierzchowny sposób — prowadzą ciągłe podjazdowe walki z Watykanem, uzurpując sobie wyłącznie w imieniu państwa włoskiego rozmaite prawa i prerogatywy należne Kościołowi katolickiemu, a przynajmniej wspólne między Kościołem a państwem.

Podziwienia godną jest przytem energja i moc niewzruszona Namiestnika Chrystusowego, który na każdą uzurpację faszyzmu odpowiada natychmiast w sposób mocny i zdecydowany, a pozwalając ogłaszać swoje odpowiedzi w prasie, pragnie widocznie w ten sposób zainteresować tymi zagadnieniami cały świat katolicki...

Można powiedzieć, że współczesna „wojna Gwelfów z Gibellinami" na półwyspie Apenińskim nie jest pozbawiona wielkiego pożytku dla całego chrześcijaństwa. Za jej pośrednictwem przekonujemy się w sposób oczywisty, bo na przykładzie jaskrawych faktów, że Stolica św. czuwa dniem i nocą nad rozwojem Kościoła i gotowa jest odeprzeć w każdej chwili każdy atak wojującego nacjonalizmu, z drugiej zaś strony autorytatywne oświadczenia Ojca św., dotyczące przeważnie spraw wchodzących w orbitę Akcji Katolickiej wzbogacają nasze wiadomości, potępiają błędy i prostują poglądy, wyjaśniając na praktycznych przykładach szereg ciekawych zagadnień.

W kwietniu r. b. rząd faszystowski zakazał odbywać zebrań należącej do Akcji Kat. organizacji włoskich studentów „Fuzi", wychodzi z założenia, że A. K. nie może zajmować się sprawami społecznemi.

Na zakaz ten zareagował Ojciec św. w dniu 19.IV. długim i wyczerpującym przemówieniem, którego streszczenie w pewnej części podajemy za K. A. Prasową:

„Dokąd dąży, dokąd winna zmierzać Akcja katolicka? Jaki temu apostolatowi należy wskazać teren? Teren jej jest tam wszędzie, gdzie chodzi o cześć Bożą, o dobro dusz, o autorytatywne rozróżnienie zła od dobra, o przykazania Boże, o stosowanie przykazań Bożych. Jest rzeczą oczywistą, że niema tam żadnych granic materjalnych, które możnaby nakreślić. A więc

Akcja katolicka, wezwana do pomocy przez apostolat, musi zawsze dotrzeć tam wszędzie, gdzie chodzi o sprawy i problemy moralne, gdzie chodzi o dobro i zło, o przykazania Boże i prawa świata, o moralność i niemoralność, o dobro albo szkodę dusz.

Jasnem jest, że wszyscy, bez względu na to, w jakich warunkach życia się znajdują, nietylko mogą potrzebować, ale mają prawo pomocy apostolatu, a co za tem idzie—Akcji katolickiej. Stąd nietylko sprawy indywidualne, ale i kwestje bardziej ogólne w obrębie moralności społecznej, nie mogąc usuwać się z pod praw Bożych, muszą podlegać wykładnikowi prawa Bożego—apostolatowi a w pewnej mierze Akcji katolickiej, która jest tego apostolatu współpracowniczką i pomocnicą. Dla przykładu: kwestja pracy nie jest zagadnieniem wyłącznie materjalnem, ekonomicznem, kwestją — jak mówią—żołądka i trawienia, ale sprawą ludzką dotyczącą godności, sumienia i moralności ludzkiej, a więc przedewszystkiem zagadnieniem moralnem, obchodzącem żywo Kościół, Stolicę Apostolską, hierarchję, apostolat, który na mocy posiadanego mandatu Bożego uważać je musi za obowiązek szczególnej wagi.

Niema więc takiego pola moralności, takiego pola humanitaryzmu w sensie najczystszym tego słowa, gdzieby Akcja katolicka nie mogła wynaleźć dla siebie posterunku pod bezpośredniem kierownictwem hierarchji. Nie można żądać oczywiście od hierarchji przygotowania technicznego, czynności mechanicznych, finansowych, które wpływają na ukształtowanie się stosunków społecznych, lecz wszędzie Kościół, a dalej Akcja katolicka mogą dać to światło, jakie społeczeństwo zjednoczy i poprowadzi je. Kościół, Akcja katolicka wskazują, jak się uświęca pracę, jak się ją uszlachetnia, jak czyni się ją wytwórcą nietylko pożywienia materjalnego, ale także pożywienia, które rodzi żywot wieczny. Akcja katolicka jest więc nietylko rzeczą słuszną i konieczną, ale także niezastąpioną. Słuszną i konieczną jest sam apostolat, który jest wyrazem wymagania Boga, aby człowiek sam również pracował nad swojem zbawieniem: „Qui creavit te sine te, non salvavit te sine te",—Ten, kto stworzył cię bez ciebie, nie zbawi cię bez ciebie". Konieczną jest również, ponieważ, jak dwunastu Apostołów, tak i zastępcy ich, dzisiejsi biskupi, nie mogą poprzestać na własnej działalności i potrzebują wielu rąk, wielu języków, woli wielu. Tak czynił i Chrystus, powołując swoich uczniów do nauczania Jego nauki.

Akcja katolicka jest dalej niezastąpioną, gdyż sięga w dziedzinę materjalną, gdzie Kościół niema możności bezpośredniej interwencji, ułatwia następnie dostęp do warstw, zbyt pochłoniętych swemi zadaniami zawodowemi, a więc narażonych na niebezpieczeństwa pogaństwa Ona ma pomóc do ustalenia Królestwa Chrystusowego w rodzinie, w społeczeństwie, we wszystkich poczynaniach ludzkich. Zależna od apostolatu hierarchicznego, posiada trzy najważniejsze obowiązki względem samej siebie: przygotowania się, ukształtowania i czynności, pole zaś jej działania nie zna granic".

Tak więc Akcji katolickiej nie wolno stawiać żadnych granic materjalnych. Winna ona działać zarówno w życiu indywidualnym,

jak i społecznem i gospodarczem, zarówno w ogniskach domowych, jak i w fabrykach, organizacjach społecznych i t. d. Wszędzie tam, gdzie chodzi o cześć Bożą, o dobro dusz, o autorytatywne rozróżnianie zła od dobra, o przykazania Boże i ich stosowanie. Zagadnienie pracy również należy do kompetencji Kościoła, a przez to samo i Akcji Katolickiej, która jest jakby Jego przedłużeniem, Jego ramieniem, Jego armją regularną, gdyż zagadnienie to jest nietylko sprawą żołądka i trawienia, ale sprawą ludzką, dotyczącą godności, sumienia i moralności ludzkiej, a więc przedewszystkiem zagadnieniem moralnem. Wprawdzie nie jest rzeczą Kościoła zajmować się technicznie reformą stosunków gospodarczych, sam jednak kierunek tej reformy i jej główne zasady nie są dla Kościoła obojętne, przeciwnie Stolica Apostolska podała je w formie obowiązującej w Encyklice Rerum Novarum i innych swoich urzędowych enuncjacjach. Np. ustawodawstwo społeczne wypływa ze wskazań Kościoła, nie znaczy to jednak, by Kościół brał na siebie odpowiedzialność za funkcjonowanie takiego, czy innego ubezpieczenia np. naszych Kas Chorych; tworzenie chrześcijańskich zw. zawodowych jest zalecone wyraźnie w Encyklice R. N., a nawet w niedawnym liście kongregacji Soboru, za działalność swą jednakże związki chrześcijańskie są same odpowiedzialne; posunięcia ich nie angażują hierarchji kościelnej, gdyż ona nie kieruje techniką ich działalności.

* * *

W liście odręcznym do kardynała arcybiskupa Medjolanu Schustera Ojciec św., prostując błędy sekretarza partji faszystowskiej Giuzattiego, zamieścił kilka ważnych wskazań dotyczących stosunku Kościoła do Państwa, a w szczególności szkolnictwa i polityki (podajemy według streszczenia „Głosu Narodu"):

„W sprawie wychowania młodzieży stwierdza Ojciec św., że „właśnie na tem polu kompetencja i autorytet właściwy i specyficzny należą do Kościoła i że Rząd ma nietylko obowiązek postępować w tem za wskazówkami Urzędu, do tego powołanego przez Boga, lecz Urząd ten wspomagać w praktyce. Nie to jednak wypełnia się, lecz coś raczej przeciwnego, gdyż młodzież wystawia się na podszepty nienawiści i nieposzanowania, utrudniając i uniemożliwiając prawie wypełnianie obowiązków religijnych przez wprowadzanie w tym samym czasie wszelkiego rodzaju innych ćwiczeń. przez do-

puszczanie do publicznych konkursów gimnastycznych kobiecych, co do których nawet pogaństwo okazywało wyczucie nieprzyzwoitości i niebezpieczeństwa"...

Giuratti powoływał się na to, że korporacyjne państwo włoskie jest „jednolite", dlatego Akcja katolicka musi się mu podporządkować. „Rząd i Państwo jednolite? Sądzimy— pisze Pius XI.—że dobrze rozumiemy to w tym sensie, iż w tem wszystkiem, co jest kompetencją państwa, zgodnie z jego własnym celem, wszyscy poddani państwa, jego obywatele, muszą dać pierwszeństwo państwu, rządowi i od niego zależeć, a zatem jednolitość, którą nazwiemy subjektywną, jest atrybutem państwa, rządu. Nie można jednak mówić o jednolitości objektywnej, to jest w tym sensie, że ogół obywateli musi dać pierwszeństwo państwu i zależeć od niego w tem wszystkiem, co jest, lub mogłoby być koniecznem dla całego ich życia także indywidualnego, domowego, duchowego, nadnaturalnego".

Życie nadnaturalne i wszystko to, co do niego należy, pochodzi od Jezusa Chrystusa Zbawiciela i oddane jest w opiekę Jego Kościołowi i jedynie jemu. Kościół zaś zawsze głosił—słowami i czynami—że Akcja katolicka należy do życia nadprzyrodzonego we współpracy, a stąd i w zależności od hierarchji. Istotnem jest, że Akcja katolicka nie przeszkadza ani może przeszkadzać tym, którzy poświęcają się po chrześcijańsku i po katolicku prawdziwej i dobrej polityce, tej która bada i wspiera dobro „polis", ogółu. Akcja katolicka przygotowuje ich do tego wyśmienicie. Słusznem jest także i widocznem, że Akcja Kościoła przez zasadniczą konieczność swego bytu i swego Bożego mandatu sięga i musi sięgać wszędzie tam, gdzie idzie o dobro lub szkodę dla dusz, o cześć lub obrazę Boga, o zachowywanie lub łamanie praw Bożych i kościelnych, o zagadnienia wreszcie i interesy nie zwykłe, materjalne, mechaniczne, ekonomiczne, ale także moralne i z nieuniknionemi wpływami moralnemi na jednostkę, rodzinę i społeczeństwo. Stąd jest obowiązek i prawo Kościoła i hierarchji i (w należytym stosunku) Akcji katolickiej wchodzić także na grunt robotniczy, pracowniczy, społeczny".

Wreszcie odnośnie do faszyzmu oświadcza Ojciec św.: „Faszyzm mieni się i chce być katolickim. A więc aby być katolikami nietylko z samego imienia, ale faktycznie być katolikami prawdziwymi i dobrymi, a nie katolikami z fałszywej nazwy i nie tymi, co w wielkiej rodzinie, jaką jest Kościół, swoim sposobem mówienia i działania trapią serce Matki i Ojca, smucą braci i deprawują ich swemi złemi przykładami, na to jest jeden tylko środek, jedyny, ale nieodzowny i niezastąpiony: być posłusznym Kościołowi i jego Głowie".

W tej walce o niezawisłość Kościoła od państwa i jego przemijających, a często namiętnościami ludzkiemi powodowanych metod rządzenia--ma Namiestnik Chrystusowy po Swojej stronie wszystkich prawych katolików całego świata. My w Polsce musimy śledzić te zmagania z tym większym zainteresowaniem, że i u nas, jeżeli chodzi np. o szkolnictwo istnieją specyficzne tendencje „upaństwowienia", a wśród grupy

rządzącej można niekiedy zaobserwować bardzo silne dążenia do ograniczenia na wielu polach praw Kościoła. Pewne objawy powtarzają się, zwłaszcza przy podobnych metodach rządzenia... Przy przetasowaniach personalnych mogą i u nas powstać rozmaite historje, zbliżone do włoskich. Podobną możliwość poważne sfery katolickie winny zgóry przewidzieć, gdyż doświadczenie dziejowe wskazuje, że wszelkie złudzenia są bardzo szkodliwe i drogo nieraz za nie trzeba płacić...

St-K-ski.

Misje Katolickie.

I.

1. Zagadnienie podstawowe misjologji.

Misje zwracają naszą uwagę jako fakt. Od Jukonu (wik. OO. Oblatów) do cieśniny Magellana (wik. ap. OO. Salezjanów); od Tunisu (diec. OO. Białych) po Kap (diecezja z klerem świeckim); od Arabji (wik. ap. OO. Kapucynów) po Sapporo (pref. ap. OO. Franciszkanów) poprzez wszystkie wyspy Oceanji dokonywa się dzieło ewangelizacji świata, zatrudniając blisko trzynaście tysięcy kapłanów, tysiąc sześćset braci zakonnych, trzynaście tysięcy sióstr zakonnych, przybyłych z Europy oraz tyleż sióstr tubylczych.

W nauczaniu szkolnem nie zwraca się na ten fakt uwagi. Studjuje się traktat westfalski, czy sposób oblegania Saguntu, a nie mówi się o historji chrześcijaństwa japońskiego w 16 wieku ani o nawracaniu Chin w 17 wieku. Ukończywszy studja średnie i wyższe, uzyskawszy wszystkie dyplomy, nic się nie wie o położeniu religijnem miljonowych rzesz mieszkańców Afryki czy Indyj.

Fakt misyjny olbrzymiej doniosłości suponuje wielką ideę. Nie z jakiejś rutyny ani z mody, lecz z głębokiego przekonania i dla uzyskania zdobyczy religijnych pracuje świat katolicki nad nawróceniem świata pogańskiego.

Zastanawia niemile badacza teologji misyjnej zupełny brak traktatów, któreby zawodowo wyjaśniły związek założeń misyjnych z poszczególnemi traktatami teologicznemi. Niema bowiem żadnego zagadnienia teologicznego, któregoby z powodzeniem

nie można rozbudować i z powodzeniem uzupełnić ideami misjologicznemi.

Każda epoka twórczości teologicznej może się wprawdzie z tego zaniedbania usprawiedliwić. Klasyczna epoka teologji patrystycznej wyobrażała sobie, że świat nie sięga poza granice imperjum rzymskiego. nie podbiwszy dla ewangelji znanych Rzymianom ziem, tembardziej nie kusiła się o dalsze tereny. Teologja scholastyczna zaś wobec naporu Islamu myślała raczej o defenzywie chrześcijaństwa aniżeli o ofenzywie; wypraw zaś krzyżowych ze względów metodycznych nie można uważać za dzieło misyjne, jedyny wreszcie wysiłek szczęśliwy Rajmunda Lulla pozostał bez echa wśród współczesnych. W epoce wielkich odkryć szesnastego wieku zaprzątano sobie głowy sporami wewnętrznemi chrześcijaństwa zamiast zająć się w skupieniu ideowo-religijnem tłem wielkich przedsięwzięć zamorskich. Złego dopełniła rewolucja religijna Lutra, najświetniejszy nawet z soborów na kartach dziejowych Kościoła, Sobór Trydencki, zadawalał się uporządkowaniem rozluźnionych stosunków kościelnych w Europie, ani słowem nie wspominając o równie ważnych, jeżeli nie ważniejszych, sprawach zbawienia ludów pozaeuropejskich. Wojny religijne, idące w ślad za sporami wyznaniowemi, wyczerpały społeczeństwo katolickie, przytępiły bystrość wzroku, obniżyły lotność myśli, zmroziły zapał szczytny. Jakże w takich warunkach pisać traktaty misjologiczne, które stanowią przecież rozdziały najdalej posuniętego idealizmu katolickiego. Rewolucja francuska wreszcie rozbudziła zaczepki nauk świeckich przeciw teologji, czem zmusiła umysły katolickie do odpierania zarzutów, do badania dziedzin pokrewnych wierze.

Choć z żalem stwierdzamy brak większego zainteresowania się zagadnieniami misjologicznemi w szerszym zakresie, to wypada tem silniej podkreślić czterech autorów z naszej dziedziny.

Józef Acosta, S. J. (1587): De procuranda Indorum salute wykazuje, w jaki sposób można nawrócić Hindusów.

Tomasz od Jezusa, Karmelita belgijski (1613): De procuranda salute omnium gentium z zapałem przedstawia obowiązek pracy ewangelizacyjnej na korzyść wszystkich.

Vericelli, Kapłan świecki (1658): Tractatus de apostolici missionibus zajmuje się zagadnieniami etycznemi, prawnemi i duszpasterskiemi, które nasunęły odkrycia nowych lądów.

Maciej a Corona, Karmelita belgijski (1675): Tractatus de missionibus sacris omawia deontologję i uprawnienia misjonarzy.

Wracając do powiązania faktu misyjnego z ideą, która go spowodowała, trzeba zaznaczyć, że nie wszystkie religje z idei religijnej przeszły do czynu rozkrzewiania swych przekonań. Świadczą o tem religje pierwotne, szyntoizm japoński, hinduizm, odłam buddyzmu, zwany Hinayana.

Niedostatecznie tłumaczy jeszcze fakt misyjny posłuszeństwo wobec nakazu Chrystusowego, wyrażonego znanemi słowami: Idąc, nauczajcie wszystkie narody (św. Marek 16, 15; św. Mateusz 28, 19). Rozkaz ten musi bowiem sam być uzasadniony ogólnym systemem teologji chrześcijańskiej. Co się spełnia z posłuszeństwa, nigdy nie tryska z głębi duszy, tak jak się zachowuje wstrzemięźliwość od potraw mięsnych w piątki z dokładnością, ale nie z entuzjazmem. Misje zaś są nieodłączne od pewnego wybuchu psychicznego. Biorąc ten rozkaz za podstawę wypraw misyjnych, ścieśniłoby się nieznośnie całe zagadnienie do osób, należących do Kościoła nauczającego i do samego głoszenia kazań, wykluczając tem samem dalsze przygotowanie umysłów pogańskich do przyjęcia „dobrej więści", co wymaga szerokiej akcji cywilizacyjnej i charytatywnej, w szkołach wszelkiego typu, w szpitalach, przytułkach, prasie, działalności gospodarczej.

Nie wystarcza tłumaczyć czynu misyjnego obowiązkiem miłości chrześcijańskiej wobec dusz, które trzeba zbawić, bo wtedy znajdziemy ich dość u siebie, bo wtedy także duchowieństwo w krajach o starej kulturze chrześcijańskiej trzebaby nazwać misyjnem, bo dalej trzebaby poznosić wszelkie metody apostolstwa, nieobliczone na bezpośrednie wyniki, a misjonarz któryby żadnej duszy nie nawrócił, musiałby uważać swój zawód za chybiony, bo wtedy wobec miljardowej rzeszy niewiernych opadłyby nam ręce z rezygnacją, bo wreszcie niewolno narzucać ich poganom, jako tych, którym zawdzięczać będą zbawienie.

Poszukując właściwego wytłumaczenia faktu misyjnego

poradźmy się prawa kanonicznego. Doznamy pewnego zawodu, gdy stwierdzimy, że ustawy Kościoła uważają za teren misyjny nawet pewne okolice środkowej Europy, nie widzą ich tam, gdziebyśmy ich się spodziewali np. w Indjach. Etnografja także nie da nam odpowiedzi zadawalającej, gdyż niejeden kraj o bardzo skromnej cywilizacji nie jest krajem misyjnym, podczas gdy właśnie najstarsze cywilizacje jak np. chińska znajdują się na tak zw. terenach misyjnych. Stopień nastawienia religijnego także nie wiele nam mówi, gdyż Kongo afrykańskie o rozbudzonej gorliwości religijnej jest krajem misyjnym, a departament Yonne we Francji, gdzie praktyki religijne zanikły doszczętnie, nim nie jest. Nie więcej nam powie geografja, bo obszar misyjny to się kurczy, to znowu rozprzestrzenia, zależnie od przejść politycznych czy innych, niektóre kraje nawet kolejno przechodzą z szeregu krajów misyjnych do godności krajów chrześcijańskich, lub naodwrót, jak to się zdarzyło Hiszpanji pięciokrotnie.

Ostatni moment najjaśniej wskazał, gdzie jest jądro odpowiedzi. Chodzi mianowicie o istnienie Kościoła widomego, żywego. Gdzie Kościół jest w okresie przyjmowania się wśród ludności, pozyskiwania jej dla pojęć i praktyk chrześcijańskich, tam jest kraj misyjny. Gdzie natomiast przeszedł ze stanu płynnego do stanu stałego, normalnego, tam ogłasza się normalną organizacją diecezjalną, podległą właściwym władzom rzymskim, wyzwoloną natomiast z pod wyłącznej juryzdykcji Kongregacji Propagandy.

Misjonarzy pędzi w świat nietylko posłuszeństwo wobec nakazu Chrystusa, nietylko obowiązek nawracania dusz, ale przedewszystkiem chęć utrwalenia placówki Kościoła widomego, czyli chęć i potrzeba spełniania posłannictwa Kościoła Katolickiego w całej rozciągłości religijnej, cywilizacyjnej, charytatywnej i społecznej.

Ustaliwszy ten pewnik, zobaczmy jakie zeń płyną wnioski.

Kościół wtedy jest widomy, gdy jest przywiązany na stałe do pewnej miejscowości. Nie będąc instytucją perjodyczną ani zjawiskiem przelotnem, przeciwnie mając skłonności grawitacyjne, zapuszczając korzenie w glebę odpowiednią, Kościół pragnie z tej ziemi, na której wyrasta, brać swoich urzędowych przedstawicieli, kapłanów i biskupów. Dąży za-

tem do umożliwienia sobie rekrutacji kapłanów, wykształcenia ich u siebie.

Kościół wtedy jest widomy, gdy obejmuje zakres czynności, leżący w jego powołaniu, gdy nie jest amputowany o żaden człon swego ciała, gdy posiada szkolnictwo w należytem duchu prowadzone, gdy ma wpływ na moralno-religijną stronę życia swoich wyznawców.

Kościół wtedy jest widomy, gdy posiada wiernych kapłanów, ale także nieruchomości, które służą celom kultu w bliższem lub dalszem zrozumieniu, więc świątynie, kaplice, klasztory, plebanje, cmentarze, sprzęty kościelne.

Ekspansja misyjna należy do istoty Kościoła, który się zowie katolickim w rzeczy samej i w tendencji. Rozkaz misyjny Chrystusa nic mu nie dodał ani nie nałożył nowego obowiązku, lecz tylko utwierdził wewnętrzną potrzebę instytucji.

Zapraszając pogan do współpracy i jedności kościelnej ich środkami podnosi się ich godność, podkreśla się równość w apostolstwie, daje okazję do wykazania szczerości przekonań.

Upada także zarzut, że mamy u siebie dusze gubiące się i czekające na zaopiekowanie się niemi, że nie należy ich szukać za morzami. Misjonarz bowiem nie goni za duszami, ale pragnie umożliwić poganom zbawienie, podczas gdy w Europie wszędzie ta możliwość istnieje. W kraju macierzystym musiałby misjonarz zniewalać do korzystania ze źródeł życia nadprzyrodzonego, na terenie misyjnym zaś udostępnia fontannę zbawienia, puszcza ją dopiero w bieg.

Małoduszni mówią, że nigdy się wszystkich dusz nie nawróci, więc niema się co spieszyć, zaniedbując swoich na korzyść pogan. Racja jest częściowa, prawda, że nigdy się wszystkich dusz nie nawróci, ale nasz cel jest znacznie skromniejszy, pragniemy mianowicie tak wszystkim udostępnić zbawienie, iżby stan misyjny Kościoła przeszedł w stan stały, ukonstytuowany, a misja zewnętrzna stała się tylko misją wewnętrzną czyli zwyczajnem duszpasterstwem.

Trzeba także logicznie wnieść, że kapłan — tubylec jest w tej samej mierze misjonarzem co kapłan pochodzący z Europy, że owszem on jest daleko naturalniejszym pracownikiem swego Kościoła aniżeli jego towarzysz z północy czy zachodu.

Obowiązek współpracy na polu misyjnem ciąży, logicznie

rozumując dałej, na każdym katoliku, bo jest związany z istotą katolicyzmu, nie jest więc tylkc sprawą duchowieństwa, czy Kościoła nauczającego. Inna rzecz, że właściwym misjonarzem, tym, który zakłada widomy Kościół na misjach, może być tylko kapłan, wszyscy inni są tylko drugorzędnemi pomocnikami, choć naogół cennymi. *Ks. Dr. St. Abt.*

Virgini — Matri.

I.

Kiedy przed laty u Twego ołtarza
schylałem kornie w pokłonach swą głowę
i drżąc przed światem, co jadem zaraża,
a młodość wpędza na szlaki niezdrowe,
błagałem Ciebie z pokorą Łazarza
jako mą Panią, Władczynię, Królowę,
byś błogosławiąc na drogę nieznaną
włożyła na mnie swą rękę kochaną —

byłem rozgrzany pełnią pierwszej łaski!
Pamiętam — słońce przez szybki witraży
sączyło złote i liljowe blaski.
I taki uśmiech był na Twojej twarzy,
co wykwitała z pod śnieżnej zapaski,
żem patrząc na nią rósł w siłę mocarzy,
jakgdyby biała Twa postać z marmuru
szła ku mnie żywa gdzieś z aniołów chóru.

Patrzyłem na Cię przez słoneczną smugę
i zdało mi się, że zstępujesz ku mnie,
a ja ubrany w stalową kolczugę
śmieję się w duszy rycersko i dumnie,
widząc, że bierzesz mię za swego sługę,
i, w czarnej kiedyś gdy odpocznę trumnie
— na piersi mojej Twój ryngraf zapłonie,
na którym postać królewska w koronie.

I czułem prawie dotknięcie Twej dłoni,
co pasowała mię już na rycerza,
widziałem błyski rycerskiej mej broni
srebrzone łuski świetnego pancerza
i hełm, żelazem ciążący na skroni...

A Ty, jakgdyby DAWIDOWA WIEŻA
stałaś przedemną — pełna sił — bojowa
i w majestacie potężnym — Królowa.

...Ale — gdy zgasły wieczorowe zorze
i biały posąg Twój zniknął w ciemności,
ja znów znalazłem się na gwarnym dworze,
pełnym światowych podstępów i złości.
Prądy porwały mię na pełne morze
i pośród obcych zgubiłem się włości.
— W oczach pogasły mi świetlane smugi,
zaczął się okres próby. Ciemny — długi.

I bez napoju już marłem i jadła,
patrząc z rozpaczą na grób samowolny,
w ciemnościach nocy twarz moja pobladła
i — nie pomniałem lilji padolnej —
Dziecięca ufność gdzieś nagle przepadła
i bez nadzieji, jako wicher polny,
pędzić zacząłem wśród ciemnych bezdroży,
gubiąc za sobą gościniec swój boży...

II.

O Matko Moja! DZIŚ moje oblicze
płonie miłości barwą! dziś me ciało
oddaje Tobie hołdy niewolnicze
i przyobleka się znów szatą białą...
Dziś w sercu mojem płoną święte znicze
i ogniem bucha ogromnym — co tlało...
Ja Ci się ZNOWU oddaję w niewolę
i nieposłuszne — przychodzę pacholę...

Oto rzuciłem bezdroża już mroczne,
zbrukane błotem nadrzecznym i iłem
i u nóg Twoich ja pielgrzym odpocznę,
ciesząc swe oczy obliczem przemiłem,
przez które cuda widzę zaobłoczne —
O — jakże długo bez Ciebie chodziłem
RÓŻO DUCHOWNA i GWIAZDO ZARANNA,
Radości Moja wieczna — nieustanna!

III.

Długo oczyma ogromnej tęsknoty
szukałem w górze, nad sobą, pomiędzy
niebem a ziemią nieznanej istoty,
która nad czarną przepaścią mej nędzy
może zawisłaby, jako most złoty,
utkany z świetlnej, jarzącej się przędzy,
a może dłonią mię dobrą podparła,
niosąc do Boga Olbrzyma — mnie — karła.

I oto teraz Cię widzę o PANNO,
Współrodzicielko Najwyższej Ofiary!
Ty Chrystusową zasilasz mię manną
Ty Duszy Syna objawiasz bezmiary,
gdy codzień rano, z jutrzenką poranną
z nocą mych myśli się bierzesz za bary
i codzień ręka Twa mię opancerza,
o Drogo Moja — o ARKO PRZYMIERZA.

IV.

Na dworze znowu wichr szumi płaczliwie,
błękit mi brudną szarugą zasłania,
lecz ja — w radości ogromnej się dziwię,
że oczy moje obeschły od łkania
i, że się cieszę tak mocno, prawdziwie,
jak małe dziecko z nowego ubrania,
choć niebo okrąg chmur czarnych przytłacza,
a droga moja samotna, żebracza...

Co mi po szczęścia ziemskiego okruchu,
gdy dzieje ze mną się rzecz niepojęta,
o której ledwo pomarzyłem w duchu!
Umiem się modlić i składać rączęta,
przed Tobą klęczeć w miłosnym bezruchu,
czekam modlitwy wieczornej i święta
i chcę przed Tobą na każdy dzień czuwać,
Dla Ciebie życie w niewolę zakuwać...

Jak biedaczyna ów — bosy Franciszek,
co dusze Bogu przemieniał na chramy,

idę w szeregu ubogich dusz — mniszek,
aby się odziać w łachmany bez plamy,
biedniejszym stać się od ptaków i liszek,
które budują gniazdeczka i jamy
i radość wielka mi serce rozszerza
chociaż nie będę miał nic — prócz pacierza.

V.

W czerwonych głogach twarz JEGO w oddali,
jak płomień świecy goreje woskowej
i szmerem krwawo ciekących korali
i ognistemi owartych ran słowy
w duszę się wżera, potrząsa i pali,
A ja — rozumiem - - ja syn Chrystusowy
i błagam Ciebie o NIENARUSZONA
niech grzech się we mnie pokruszy i skona.

Tadeusz Kordyasz.

1931 r. kwiecień.

NA MARGINESIE AKCJI KATOLICKIEJ.

Akcja katolicka a robotnik przymusowy.

Jak wiadomo z poprzednich numerów na temat podany w tytule rozwinęła się dyskusja między Ks. dr. Kozłowskim i ks. A. F. Kowalkowskim z Poznania, prowadzona na łamach „Pro Christo" i „Przewodnika Społecznego". Poniżej podajemy I część obszernej odpowiedzi ks. A. F. Kowalkowskiego na artykuł ks. dr. Kozłowskiego zamieszczony w „Przewodniku Społecznym". Nie ze wszystkimi poglądami Szan. Autora zgadzamy się w stu procentach. Wiele z nich natomiast uważamy za bardzo cenny przyczynek do omawianego zagadnienia. W szczególności zależy nam na podkreśleniu, że naszym zdaniem celem Akcji katolickiej w dziedzinie społecznej jest nietylko: 1) ugruntowanie w wierze i dobrych obyczajach tych chłopów i robotników, którzy stoją dotychczas przy Kościele i 2) przy-

ciągnięcie do katolicyzmu tych, którzy pod wpływem ustroju kapitalistycznego i agitacji radykalnej od niego odeszli, lecz także 3) przygotowanie wśród inteligencji gruntu dla zrozumienia konieczności reform społeczno-ekonomicznych, idących w kierunku zasad zawartych w Encyklice Rerum Novarum i innych enuncjacjach Kościoła. Nie łudźmy się, żeby bez reform społecznych, przeobrażających gruntownie niemoralny i niezgodny z zasadami katolickimi ustrój kapitalistyczny—dało się coś poważnego zrobić w tej dziedzinie. Chłop i robotnik pójdą za kościołem, jeżeli się przekonają w życiu codziennym, praktycznym, że Kościół propaguje o sprawiedliwość społeczną. *REDAKCJA.*

„Parawan różnych wykrętów..."

(w odpowiedzi „Przewodnikowi Społecznemu".)

I

Każda prawie publiczna dyskusja i krytyka świadczy o żywotności poruszonego zagadnienia, nawet wówczas, gdy mamy do czynienia z mniejszem lub większem niezrozumieniem artykułu podstawowego. Z wyjątkiem teologicznych dogmatów „pewników matematycznych oraz pewnych faktów historycznych różnica zdań zawsze jest dopuszczalna i niekoniecznie musi być „parawanem różnych wykrętów". Nigdy zaś nie wolno nam insynuować naszemu przeciwnikowi złej woli, gdy mamy wszelkie dane, które każą nam wnioskować raczej o jego dobrej intencji. Różnica poglądów niekoniecznie też musi być wypływem niedostatecznej znajomości omawianego tematu, lub zgoła złej woli. Gdzieżby została zasada: quot capita, tot sententiae. Często zaś sami sobie imaginujemy olbrzymią czełuść, rzekomo dzielącą nas w zapatrywaniach od naszego adwersarjusza. Imaginujemy ją sobie, ponieważ źle lub wcale nie zrozumieliśmy naszego „przeciwnika".

Jeżeli kwestje stare, o bogatej historji, dopuszczają i dzisiaj jeszcze dyskusje (nawet t. zw. „zasadnicze"), to daleko więcej rozpraw wymagają zagadnienia nowe, zgruntu nowe albo dawne—przeobrażone. Do takiego zagadnienia, że tak powiem, modnego obecnie należy sprawa Akcji Katolickiej. Prawda, jej idea zasadnicza żyła zawsze przez wszystkie wieki, od samego początku

chrześcijańslwa, w różnych czasach, różnie występując; jednakże w postaci obecnej widzimy ją po raz pierwszy Musi ona zatem wywołać dyskusje, które kwestji samej bynajmniej nie zaszkodzą, przeciwnie ją umocnią. Dzieje się to przedewszystkiem na terenie społecznym, co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, gdy pamiętać będziemy o tem, że socjologja sama jest do tej pory czemś ściśle nieokreślonem, nauką formalnie płynną, bez konkretnych granic. (O tem zdawano sobie doskonale sprawę m. in. na Zjeździe socjologów polskich w Poznaniu w marcu b. r.) Jakżeż wobec tego wykluczyć t. zw. „zasadniczą dyskusję" z tematu np. Akcja Katolicka a robotnik przemysłowy", uważając, że do jednego celu „restaurare omnia in Christo" prowadzą tylko drogi „a" i „c"; ścieżka „b" zaś anathema sit?! Zresztą samo pojęcie „dyskusja zasadnicza" jest bardzo elastyczne...

Replika „Przewodnika Społecznego" na mój artykuł o kwestji robotniczej (ob. „Pro Christo" listopad 1930—Przewodnik Społeczny, grudzień 1930), jest pod tym względem bardzo ciekawa. Redaktor ks. Dr. E. Kozłowski, zarzucając mi „zupełną dezorjentację" co do omawianej sprawy oraz ignorację odnośnej literatury źródłowej, jak listów papieskich i biskupich, nie wyłączając encykliki „Rerum Novarum", uważa, „że nad kwestją, jak bronić robotnika współczesnego przed niebezpieczeństwem utraty wiary, nie powinno być już żadnej zasadniczej dyskusji". Do napisania repliki na moje „niebezpieczne, błędne", jak pisze Szan. Autor, skłoniło go to, że są one „jednak mimo wszystko odbiciem poglądów panujących jeszcze w szerszych, niżby się zdawało, kołach i że mogą służyć na umocnienie tych poglądów oraz za parawan różnych wykrętów". Następnie pragnie Ks. Dr. Kozłowski myśli moje poddać krytycznemu rozpatrzeniu, jednakże w rzeczywistości ogranicza się tylko do niektórych punktów mojego artykułu, które notabene nie miały nawet być punktami pierwszej wagi. Artykuł „Przewodnika Społecznego" omawia w rzeczy samej tylko sąd mój o wartości organizacyj, oraz stosunek ruchu społecznego do Akcji Katolickiej.

Przeczytawszy replikę „Przewodnika Społecznego", stwierdziłem odrazu kompletne niezrozumienie mojego artykułu, a w jednej rzeczy (sprawa organizacyj), gdzie, jakby się zdawało na pierwszy rzut oka, Szan. Autor mnie zrozumiał, i w tej rzeczy nawet zrozumiał mnie źle. Zarzut zaś, jakobym wyłączał chrze-

ścijański ruch społeczny z Akcji Katolickiej, zrodził się przypuszczalnie już nie tylko z niezrozumienia myśli przewodniej mojego artykułu, ale także z niedostatecznej orjentacji w samym tekście. Najprzód bowiem już sam tytuł mojego wypracowania: „Akcja Katol. a robotnik przemysłowy" mówi o pewnej łączności tych dwu spraw. Następnie zaś zaraz pierwsze dwa ustępy świadczą chyba wyraźnie o tem, że nawet przez myśl mi nie przeszło wyłączać ruch społeczny od Akcji Katolickiej. Przeciwnie łączność Akcji Kat. z kwestją socjalną, robotniczą jest przecież tłem moich wywodów i ciągnie się przez cały artykuł aż do samego końca. Zaznaczyłem wyraźnie, iż pragnę wykazać, „co mojem zdaniem Akcja Kat. dać powinna robotnikowi, w jakim kierunku iść powinna Akcja Katolicka na polu kwestji robotniczej". A na str. 647, ustęp pierwszy, piszę wyraźnie: „Zatem troska o *duszę robotnika,* rzuconego na pastwę pogańskich haseł — to jedno z zadań Akcji Katolickiej. Ratować tę duszę dla Boga i dla Narodu, powstrzymywać dalszy postęp neopoganizmu — oto jeden z celów świętego hasła Piusa XI." Zatem niezrozumiały dla mnie jest najzupełniej niesłuszny zarzut tego właśnie rzekomego „podstawowego błędu" mojego artykułu. Jedynie słabem usprawiedliwieniem podobnego zarzutu mogą być źle zrozumiane dwa końcowe zdania ustępu drugiego na str. 649. Piszę tam: „Czego one (organizacje) dokonać nie potrafią, jako wyraz chrześcijańskiego ruchu społecznego, dokonywać powinna i musi Akcja katol., która sprawę ujmie głębiej, bo od duszy samej. Duszę tylko przez duszę ratować można, jak do serca dojdzie się tylko drogą przez serce". Zrozumienie. ale dobre, tych słów zależy w zupełności od dobrego zrozumienia całego artykułu, ściślej: jego myśli zasadniczej.

Ilekroć jest mowa o Akcji Katolickiej, należy pamiętać o dwóch fundamentalnych zasadach: 1° Akcja Kat. jest **akcją wszechstronną,** oraz 2° pierwszem i zasadniczem dążeniem Akcji Katol. w drodze do urzeczywistnienia wzgl. ugruntowania Królestwa Chrystusowego jest: **wyrobienie wewnętrzne.** To wyrobienie wewnętrzne jest podstawą wszelkich gałęzi i kierunków działalności Akcji Katolickiej. Ono też było dla mnie punktem wyjścia, gdy mówiłem o stosunku Akcji Katolickiej do kwestji robotniczej. Przyjmując to podstawowe, fundamentalne, dążenie Akcji Kat. do wyrobienia wewnętrznego wśród

ludzi, musimy konsekwentnie główny nacisk kłaść na stronę duchową, tę, która leży w rękach duchowieństwa, ażeby jakoś uregulować jego stosunek do wiernych i — niewiernych. Duchowieństwo kieruje całą Akcją, nadaje jej ton, odgrywa pierwszą rolę. Nie mniej jednakże ważną, a nawet konieczną jest współpraca świeckich, którzy niejednokrotnie łatwiejszy mają dostęp tam, gdzie dłoń kapłana dotrzeć nie zdoła.

W artykule swoim podawałem takie sposoby działalności Akcji Kat., które przedewszystkiem należą do *duchowieństwa* (co słusznie stwierdził p. red. St. Kaczorowski), chociaż i one niejednokrotnie wymagają koniecznej pomocy apostołów-laików.

Jeżeli pisałem, że niedomagania organizacyj powinna wzgl. musi naprawić „Akcja Katolicka, która sprawę ujmie głębiej, bo od duszy samej", to bynajmniej nie chciałem wyeliminować od niej ruchu socjalnego; zamiarem moim raczej było, podkreślić fundamentalną zasadę Akcji Katolickiej: **wyrobienie duchowe i to każdej poszczególnej jednostki z osobna.** Wszak praca wewnętrzna, duchowa, nie dzieje się en masse, lecz należy się zajmować każdą duszą odrębnie. Metoda to duszpasterska stara jak Kościół. Dzisiaj zaś szczególną odgrywa rolę. My kapłani znamy przecież konieczność tej pracy indywidualnej nad duszą człowieka najlepiej z konfesjonału. A tę motodę **bezpośredniego wpływania duszy na duszę** należy przenieść na teren działalności Akcji Kat. Ona ożywi to, co psuje zdrętwiały formalizm. Poruszę tę sprawę jeszcze raz w łączności z kwestją organizacyj robotniczych.

Zarzuca mi „Przewodnik Społeczny" dalej „pomieszanie celów z środkami" uważając, że na tem właśnie polega cały błąd mojego artykułu. Sądzę, że puszczenie się na drogę takiego zarzutu jest w tym wypadku krokiem bardzo niebezpiecznym. Co jest celem, a co środkiem — o tem możnaby długo dyskutować. I dyskusja podobna byłaby uproszczona i łatwiej prowadziłaby do celu, gdybyśmy w Akcji Katol. uznawali 1° cel główny: urzeczywistnienie wzgl. ugruntowanie Królestwa Chrystusowego wśród rodu ludzkiego; 2° cele uboczne, t. j. takie, które już bezpośrednio prowadzą do celu głównego; 3° środki, jakiemi posługiwać się należy w każdym poszczególnym wypadku zosobna. Tych środków jest moc, a bardzo często indentyfikują się one z celami ubocznemi. Trudno bowiem odgraniczyć cele uboczne

od środków, gdyż pierwsze jak i drugie dążą do wspólnego celu ostatecznego: triumfu Chrystusa Króla na ziemi.

„Przewodnik Społeczny", podawszy niezręcznie ujęte i pod względem ideowym zupełnie chybione streszczenie mojego artykułu, pisze tak: „Niewątpliwie odrodzenie religijne rodziny, obudzenie i ożywienie poczucia wspólności parafjalnej i wywołanie oraz wzmocnienie ruchu liturgicznego mają niezmiernie wielkie znaczenie dla Kościoła. I rzeczywiście kwestja robotnicza byłaby ze swej strony religijnej rozwiązana, gdyby rodzina robotnicza stała się twierdzą religijności, gdyby robotnik brał żywy udział w życiu parafjalnem i był gorliwym uczestnikiem ruchu liturgicznego. Nie byłyby wtedy te prądy radykalno-społeczne z swem nastawieniem antyreligijnem niebezpieczne Lecz są to wszystko cele, do których dążyć należy, a nie środki, któremi trzeba się posługiwać w obronie robotnika przed atakami na religijność i przywiązanie do Kościoła. I właśnie cały błąd autora artykułu omawianego polega na pomieszaniu celów z środkami".

Otóż według Ks. Dr. Kozłowskiego cała Akcja Katol. kończy się tam, gdzie „rodzina robotnicza stała się twierdzą religijności", gdzie robotnik bierze „żywy udział w życiu parafjalnem" i stał się „gorliwym uczestnikiem ruchu liturgicznego". To są według Szan. Autora cytowanych słów „cele, do których dążyć należy". Mnie się jednakże wydaje, że na tem działalność Akcji Katol. na terenie robotniczym bynajmniej się nie kończy. Dążyć raczej należy do *wyrobienia wewnętrznego*, do przyspieszenia panowania Królestwa Chrystusowego na ziemi, *w sercach* ludzi. A do tego właśnie *służą* m. i. sposoby odrodzenia religijnego rodziny, stworzenie wzgl. odnowienie zapomnianej wspólności parafjalnej oraz propaganda ruchu liturgicznego. Owszem przyznaję, że niejednokrotnie rzeczy te są celami ubocznemi Akcji Katol. Jednakże i wówczas nie zrzekają się swej roli jako środki prowadzące do celu głównego. Taka np. liturgja, czy ona może być *celem sama w sobie?* Czy ona nie jest raczej jednym z *środków* prowadzących do Chrystusa, do ukochania Wielkiej Idei Boga, do wewnętrznego udoskonalenia duszy ludzkiej? ..

Przytoczony ustęp zawiera pozatem jeszcze jedną nieścisłość w odniesieniu do mojego artykułu (występującą zresztą i na innych miejscach repliki Ks. Dr. K.). Mianowicie Ks. Dr. Kozłowski mówi prawie wyłącznie o „obronie robotnika przed

atakami na religijność i przywiązanie do Kościoła", podczas gdy mnie w trosce o duszę robotnika chodziło nie tylko o obronę tych, którzy jeszcze trzymają się wiary i Kościoła, ale także i *przedewszystkiem* o *odzyskanie* tych nieszczęśliwych braci—robotników, którzy już zerwali z Kościołem i z chrześcijańskim poglądem na świat. I to przeoczenie myśli mojej ze strony Ks. Dr. Kozłowskiego stało się niewątpliwie zawiązkiem nieporozumień co do celów i środków oraz co do samych organizacyj.

A teraz przystąpmy do nieszczęsnej sprawy organizacyj robotniczych, której „Przewodnik Społeczny" tyle poświęca miejsca, uważając ją widocznie za główną myśl mojego artykułu. Kamieniem obrazy był niewątpliwie ustęp na str. 649, gdzie śmiałem skrytykować nasze organizacje, które nie są wstanie powstrzymywać postępu socjalizmu i komunizmu. Muszę tutaj zaznaczyć, że artykuł swój ująłem nie tylko na tle stosunków polskich, ale świata katolickiego wogóle, co wyraźnie zaznaczyłem na str. 647. Przytoczyłem obiegające na zachodzie zdanie „organizujemy się na śmierć", które zresztą nie jest bez aktualności także w Polsce, gdzie np. na terenie robotniczym mamy aż kilka centrali, zamiast jednej wielkiej. Wypowiedziałem przytem zdanie, że „towarzystwa, organizacje są dobre, ale tylko w pewnej mierze".

Wskazując następnie na to, że Akcja Katol. dąży do urzeczywistnienia swojego programu przez wyeliminowanie w społeczeństwach pewnej elity katolickiej, pisałem: „Nie burząc bynajmniej istniejących obecnie towarzystw i organizacyj robotniczych, chrześcijańskich, dążmy do tego, by w nich byli członkowie — katolicy z krwi i kości, którzy nietylko będą dobrymi członkami, ale przedewszystkiem katolikami w całem swojem życiu prywatnem i publicznem". Otóż o taki pogląd na wartość i celowość naszych towarzystw potknął się „Przewodnik" i wyjechał z gorącą apologją rzekomo pokrzywdzonych przeze mnie chrześcijańskich organizacyj robotniczych, przytaczając ustępy z „Rerum Novarum" z listu Benedykta XV do Biskupa w Bergamo, z enuncjacji Congregationis Concilii oraz kilka przykładów z praktyki (Francję, Niemcy, Holandję Belgję, Exempla te są zresztą mniej lub więcej chybione, o czem niżej!). Każda cytacja jest przytem zaprawiona w ostry ekskurs pod moim adresem. Raz naprzykład żali się „Przewodnik Społeczny", że przed

napisaniem mojego artykułu powinienem był „zajrzeć choćby do „Rerum Novarum", a wówczas nie byłbym sobie (według „Przewodnika") „tak zlekceważył znaczenia i roli chrześcijańskich organizacyj robotniczych". Następnie wskazuje „Przewodnik" palcem na list Benedykta XV, który zawiera dla mnie (specjalnie!) „niemniej wyraźne pouczenie". Jednakże nie bez pewnej dozy t. zw. wyrozumienia pisze Autor repliki: „Nie mamy jednak już pretensji do autora, by list ten znał. Należało jednak przypuszczać, że autor, jeżeli już kwestją robotniczą się zajmuje, słyszał coś o owym sławnym liście Św. Kongregacji Soboru do Biskupa w Lille"... Po takich uszczypliwych wycieczkach osobistych pisze „Przewodnik" pompatycznie: „Gdyby autor artykułu zrobił im (t. j. organizacjom robot. chrześcij.) zarzut, że dopuściły się one pewnych zaniedbań, że nie zawsze dość intesywnie pracowały, że nie zawsze wykazały należytą energję, ruchliwość, inicjatywę, moglibyśmy się z nim zgodzić. I całkowicie bylibyśmy po jego stronie, gdyby był wysunął postulat, by one więcej niż dotychczas starały się urabiać duszę robotnika... it.d". Ot! w tem sęk! O to mi właśnie chodziło! Prawda, nie rozwodziłem się szeroko nad różnemi niedomaganiami chrześcijańskiego ruchu społecznego, ani nie wyliczyłem brakujących mu przymiotów, — wszak nie leżało to w myśli głównej mojego artykułu, — jednakże w tym właśnie kierunku szła moja krytyka naszych organizacyj. Nie zlekceważyłem ich sobie, ani nie miałem na myśli przytaczać jakieś argumenty przeciw ich pożyteczności i konieczności, — jak mi to niesłusznie insynuuje „Przewodnik Społ". raczej pragnąłem podkreślić istnienie w organizacjach *wogóle* pewnych, niejednokrotnie nawet aż zanadto rażących niedociągnięć, domagających się — na podstawie doświadczeń życiowych — pomocy metod innych, pozaorganizacyjnych.

Przyznaję, że dzieje organizacyj robotniczych katolickich szczycą się nie jedną piękną kartą. Związki nasze zdołały niejednego powstrzymać od przejścia do czerwonego frontu. Chodzi tylko o to, czy one są wystarczające? Jak należy sobie tłumaczyć zjawisko, że mimo ich działalności, jednak tylu a tylu robotników opuszcza szeregi katolików, zapisując się do czerwonych towarzyszy? A wreszcie zagadnienie, o które mi w listopadowym artykule chodziło: czy te nasze organizacje jako takie potrafią *odzyskać* te dusze robotnicze, które wzięły roz-

brat z katolicyzmem?... Czy tutaj raczej nie należy używać sposobów innych, pozaorganizacyjnych?... O tej właśnie kwestji pisał swego czasu znany socjolog niemiecki jezuita O. Konstantyn Noppel, W artykule p. t. „Um die Seele des Arbeiters" (Stimmen der Zeit, Bd. 108, Dezember 1924) porusza uczony Fryburski sprawę wartości organizacyj zawodowych. Stwierdza np., że, aczkolwiek na Konferencji socjologów katolickich w Antwerpji w roku 1924 akcentowano znaczenie specjalnych organizacyj, to jednakże według sprawozdań przedstawicieli poszczególnych państw okazuje się także pewna niedostateczność dotychczasowych organizacyj robotniczych. „Wenn auch an einzelnen Stellen ihnen t. j. organizacjom Erfolg nicht abgesprochen werden dürfte—pisze O. Noppel—.so sind sie doch nur eines der Mittel, die auf die Dauer nur dann Erfolg haben werden, wenn sie bereits die nötige Vorarbeit gefunden haben. Das Problem muss weiter und tiefer gefasst werden. „Die Aufgabe muss *weiter* gestellt werden, als dass sie Lediglich im Rahmen der Ständererline gelöst werden, als dass sie tetiglif im Rahmen der Ständefereine gelöst werden könnte. Die *Kirche* muss der breitesten Öffentlichkeit *frei* erscheinen von der Verbindung mit irgend einer bestimmten *Interessenpolitik*, sie darf weder als unbedingte Schutzmacht jeglichen Besitzes, noch als Vorkämpferin bestimmter Formen oder Einrichtungen des öffentlichen Lebens gelten". Słowa te, dobrze zrozumiane, bynajmniej nie sprzeciwiają się cytowanym przez ks. dr. Kozłowskiego ustępom z „Rerum novarum" i z listu Św. Kongregacji Soboru.

Nie wystarcza tylko zgromadzenie i „hodowanie" poczciwych wyznawców katolickiego poglądu na świat w ramach organizacyjnych. Dążyć należy także, a kto wie czy nie przedewszystkiem, do pozyskania owieczek błądzących. A tego dokonać można tylko wspomnianem wyżej oddziaływaniem indywidualnem. Walczyć trzeba tu o każdą duszę robotniczą *zosobna*. Usuwając wczystko, co stoi na przeszkodzie tej pracy iście misjonarskiej, wszystko co rozdziela rzesze robotnicze od Kościoła, należy z drugiei strony w łonie samego Kościoła pielęgnować to, co przyczynia się do nawiązania kontaktu spoganizowanego tłumu z Matką Kościołem. „A nasze obecne urządzenia kościelne nie zawsze dopisują. Są parafje, liczące potężne związki robotnicze, a gdzie mimo to rzesze robotnicze w sposób zastra-

szający odwracają się od Kościoła". Stowarzyszenia uważa O. Noppel raczej za warowne zamki, broniące terenu, niż za zdobywające wojska. „Im grossen und ganzen sind doch die Vereine der schirmenden Burgen zu vergleichen, als erobernden Heeren". Rzeczą najważniejszą w walce o duszę robotnika, o jego odzyskanie dla Kościoła, jest należycie i dobrze urządzone **duszpasterstwo.** I to praca duszpasterska że tak powiem *misyjna,* polegająca na bezpośredniem stykaniu się z błądzącymi. Będzie ona tem owocniejsza, im mniejszy będzie teren jej działalności. Stąd palącą wprost koniecznością jest dążenie do **małych parafij.** „Die beste soziale Organisation wird nichts helfen, wenn das solide Fundament der Seelsorge fehlt. Die grössten Vereine halten auf die Dauer den Niedergand nicht auf, wenn es an *kleinen Pfarreien* fehlt", pisze ks. Noppel. W słowach tych mieści się wielka prawda. Przed organizacjami zawodowemi kroczy daleko ważniejsza sprawa duszpasterstwa w sciślejszem znaczeniu, gdzie praca kapłańska będzie szła w tym kierunku, by przeprowadzić zasadę t. zw. wspólności parafjalnej. Nie jest to zadanie łatwe. Konieczna jest dzisiaj nawet współpraca świeckich. Ale praca to iście misjonarska, gdzie należy się zajmować każdą poszczególną jednostką zosobna. Przystąpmy do tych, co stoją po drugiej stronie frontu z sercem pełnem miłości, usuńmy wprzódy piętrzące się zwały wzajemnego osobistego niezaufania, pokażmy „tamtym", że Kościół to nie ciemiężyciel t. zw. klasy pracującej, pokażmy im dalej *osobistym przykładem* wielkie walory katolickiego poglądu na świat. Przystępując do każdego z odpadłych robotników zosobna, jako ich przyjaciel, zyskując ich zaufanie, zdołamy więcej uzyskać, niż gromadną akcję formalizmu organizacyjnego, często zbyt zeskorupiałego. A dla wielu z tych, co porzucili wiarę i katolicyzm, zawsze jeszcze łatwiejszą będzie droga do kościoła niż na salę zebrań towarzyskich. Zresztą organizacje chrześcijańskie już ze względów materjalnych nieraz przedstawiają się mniej ponętnie dla robotnika, niż związki socjalistyczne. Bardziej przyciągającemi zaś od stowarzyszeń chrześcijańskich są związki socjalistyczne pod względem różnorodności programu, przystosowanego do najnowszych prądów życiowych, kulturalnych i umysłowych, oraz pod względem intensywności pracy i bezwględnie większego i przedewszystkiem lepszego zmysłu organizacyjnego. *Ks. A. Kowalkowski.*

SPOŁECZENSTWO i WYCHOWANIE.

Uwagi Episkopatu o Konstytucji.

Katolicka Agencja Prasowa komunikuje:

Jego Eminencja Ks. Kardynał Kakowski i J. E. Ks. Kardynał Prymas Hlond w imieniu Episkopatu polskiego nadesłali premjerowi Sławkowi, marszałkowi Sejmu i Senatu, prezesom klubów parlamentarnych BB., Stronictwa Narodowego, Stronnictwa Ludowego, P. P. S., Ch. D., N. P. R., Kl. Ukraińskiemu i Kl. Niemieckiemu „Uwagi Episkopatu polskiego w sprawie zmiany Konstytucji" wraz z listem poniższym:

„W załączeniu mamy zaszczyt przesłać w imieniu Episkopatu polskiego uwagi nasze do projektu zmiany konstytucji, przedłożonego Sejmowi przez posłów Kl. Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Do przedłożenia powyższych uwag skłania nas troska o dobro Rzplitej, pragnienie usunięcia walk wewnętrznych i dążenie do uproszczenia stosunku Kościoła do Państwa, przez co niewątpliwie usuniemy dyskusję i nieporozumienia niemiłe każdemu Rządowi Rzplitej i Episkopatowi. O ileby się okazała potrzeba wyjaśnienia naszych zapatrywań, służy niemi chętnie Biuro Episkopatu, Mokotowska 14".

Pod. † Aleksander kard. Kakowski, † August kard. Hlond.

Warszawa 21 kwietnia 1931 r.

„Całokształt konstytucji polskiej interesujący w najwyższym stopniu każdego obywatela polskiego, nastręcza także Episkopatowi szereg uwag.

W niniejszym memorjale ograniczamy się do spraw i artykułów konstytucji pośrednio i bezpośrednio związanych z życiem religijnem w Polsce.

Uznając życie religijne za podstawę pomyślnego rozwoju Rzplitej, uważamy za swój obowiązek i prawo przedłożenie Rządowi, Sejmowi, Senatowi, oraz innym zainteresowanym czynnikom naszych uwag i propozycyj. Przez uzgodnienie tych postulatów zgodnie z wiekową tradycją Polski, zabezpieczenie prawidłowego współżycia Państwa i Kościoła, zapewnienie katolikom naturalnych praw w dziedzinie życia wewnętrznego i kulturalnego a uznanie niebezpieczeństwa tarć i walk wewnętrznych stworzymy silne podstawy spokojnego, sprawiedliwego i zgodnego

z głosem sumienia rozwoju życia kulturalnego Polski. Przechodząc do poszczególnych artykułów konstytucji, bierzemy za podstawę naszych rozważań wniosek B.B.

1. Pominięcie w projekcie konstytucji wstępnej deklaracji konstytucji z dnia 17 marca 1921 r.

(Deklaracja ta zaczyna się od słów „W Imię Boga Wszechmogącego! My Naród Polski, dziękując Opatrzności za wyzwolenie nas... Uw. Red.).

nietylko zrywa z tradycją i przeszłością Polski, ale zarazem nadaje późniejszym artykułom znaczenie, na które katolicy nie mogliby się zgodzić.

Bóg źródłem władzy.

Wychodząc z założenia, że Bóg jest źródłem ostatecznem wszelkiej władzy, moglibyśmy przy wstępnej deklaracji, uznającej Wszechmoc Boga, zgodzić się na określenie zamieszczone w artykule 2-im o źródle władzy i prawie naczelnem. Bez deklaracji wstępnej, o Bogu projektowany artykuł drugi nabierze znaczenia niezgodnego z pojęciami ludzi wierzących w Boga i przytem nastręczy sposobność głoszenia błędnego zupełnie zapatrywania na etykę i prawo w państwie. Wobec tego proponujemy następujące brzmienie artykułu 2-go:

Bezpośredniem źródłem władzy w Rzeczypospolitej Polskiej jest Naród, prawem zaś naczelnem dobro państwa, określone niniejszą konstytucją.

2) Artykuł 9 pomija kwestję, wobec kogo Prezydent składa przysięgę swoją, co powinno być określone w konstytucji.

3) W artykule 14-ym oświadczamy się za opuszczeniem wyrazów „oraz umarzania postępowania przed prawomocnem rozstrzygnięciem sprawy w poszczególnych wypadkach". Prawo umarzania skargi nierozstrzygniętej sądownie wkracza w prawa osób trzecich, naraża prezydenta na zarzuty i podejrzewania go o stronniczość a osłabia świadomość, że sprawiedliwość wobec wszystkich winna w równej mierze mieć zastosowanie.

O reformę ordynacji wyborczej.

4) W art. 30-ym uważamy za swój obowiązek zwrócenia już obecnie uwagi na poważne niedomagania, wynikające z obe-

cnego systemu głosowania na listy, obejmujące całe państwo i uwzględniające listę państwową. Dotychczasowe doświadczenia wykazały, że listy układane i zatwierdzane w ostatniej chwili przed upływem terminu ich zgłaszania nie dają wyborcom dostatecznej sposobności do eliminowania nieodpowiednich kandydatów, lecz powodują zwalczanie całych tych stronnictw.

Episkopat zwraca uwagę na to, że przedkładając wyborcom katolickim obowiązek sumienia brania w głosowaniu udziału i głosowania wyłącznie na kandydatów, którzy będą dawać gwarancję zajmowania w praktyce parlamentarnej stanowiska zgodnego z zasadami Kościoła Katolickiego wobec próśb katolików wyborców o wskazówki będzie zmuszony odradzać katolikom głosowania na kandydatów nieodpowiednich, konsekwencją zaś tego stanowiska może być pomijanie całych list, na których wśród kandydatów odpowiednich znajdują się kandydaci niewłaściwi.

Episkopat już obecnie prosi o uwzględnienie tej trudności w ordynacji wyborczej i o uchwalenie takiej, któraby dozwalała pominąć poszczególnych kandydatów bez równoczesnego zwalczania całych list i sądzi, że ta drogą prowadzi do zdrowego rozwoju Państwa Polskiego.

W konsekwencji Episkopat oświadcza się za zniesieniem list państwowych, które jeszcze mniej podlegają wpływom wyborców, a tem samem ograniczają swobodę wyborczą. Niemniej uważamy, że stosunkowe prawo wyborcze nie ułatwia stworzenia stałej większości parlamentarnej, koniecznej do stałości rządów i jednolitości ustawodawstwa.

5) Do artykułu 64: Ustawy obowiązujące w Polsce lub uchwalane przez ciała ustawodawcze mogą być sprzeczne z konstytucją wobec braku stałego trybunału, którzyby miał prawo rozstrzygnięcia czy i w jakiej mierze ustawa narusza postanowienia konstytucji

Wobec tego utworzenie takiego stałego trybunału uznajemy za rzecz niezbędną.

6) Do artykułu 7: Pozbawienie Senatu inicjatywy ustawodawczej nie odpowiada godności tej Izby, wychodzącej także z powszechnego głosowania oraz mianowania Prezydenta Rzplitej i doświadczeniu życiowemu jej członków.

7) Do art. 71: Mamy przed sobą dwa druki wniosku,

o którym mówimy. W druku pierwszym czytamy „dekrety te mogą dotyczyć”, a w drugim zaś: „dekrety te nie mogą dotyczyć” — „zmian konstytucji”.

Ani na chwilę nie chcemy przypuszczać, ażeby wniosek projektował nadanie Prezydentowi prawa zmiany konstytucji, co też potwierdza dalszy ciąg tego artykułu, w którym czytamy:

„Ustawa może upoważnić Prezyd. Rzplitej do wydawania dekretów z mocą ustawy w czasie i zakresie przez ustawę wskazanym, jednakże z wyjątkiem zmian konstytucji”.

8) W art. 129-ym. Artykuł ten proponujemy w następującem brzmieniu: „Religja rzymsko-katolicka wszystkich obrządków, będąca religją przeważającej większości narodu, zajmuje w Państwie naczelne stanowisko. Urzędowe nabożeństwa państwowe odbywają się w Kościele katolickim, Kościół rzymsko-katolicki wszystkich obrządków rządzi się własnemi prawami. Stosunek Państwa do Kościoła określa układ ze Stolicą Apostolską, ratyfikowany prz z Sejm.

Państwo uznaje skutki cywilne małżeństwa zawartego według przepisów katolickiego prawa kanonicznego i uznaje, że właściwym sądem do orzekania w sprawach takiego małżeństwa jest sąd duchowny.

Prawo małżeńskie.

Wzmianka o wszystkich obrządkach Kościoła katolickiego wynika z konkordatu, który wszystkie inne obrządki traktuje jako jedną całość Kościoła katolickiego i zabezpiecza przed błędami przeszłości, traktującemi w Polsce niejednakowo różne obrządki Kościoła katolickiego.

Sprawa małżeństw katolickich ogólnie wprawdzie jest uwzględniona w artykule pierwszym konkordatu, stwierdzenie jednak ponownie praw katolickiego małżeństwa w konstytucji stanowić będzie podstawę dla prawa małżeńskiego i uchroni Polskę przed ciężkiemi walkami na tem tle, któreby musiały powstać, gdyby społeczeństwu katolickiemu chciano narzucić prawo małżeńskie, niezgodne z powyższemi zasadami.

9) Do artykułu 130: Proponujemy następujące brzmienie tego artykułu: Kościoły i wyznania mniejszości religijnych, zarejestrowane przez państwo, rządzą się własnemi ustawami, któ-

rych zatwierdzenie podlega państwu. A zatwierdzonym dotąd wyznaniom państwo nie odmówi zarejestrowania i zatwierdzenia ustaw, o ile ich urządzenia, nauka i ustrój nie są przeciwne porządkowi publicznemu i obyczajności publicznej. Stosunek państwa do tych kościołów i wyznań będzie ustalony w drodze ustawodawczej po porozumieniu się z ich prawnymi reprezentantami."

O szkołę wyznaniową.

10) Do artykułu 135: Uważamy za konieczne dodać ustęp 2-gi tej treści: „Każdy obywatel ma prawo kształcić i wychowywać swe dzieci w szkole powszechnej przez nauczycieli tego samego co dziecko wyznania. Wyjątkowe okoliczności ze względu na zbyt małą liczbę dzieci danego wyznania lub na brak odpowiednich sił nauczycielskich określi osobna ustawa". Zasadniczo stoimy zawsze tak i obecnie na stanowisku szkoły wyznaniowej. Obecny typ szkolnictwa wprowadza taką anomalję, że w tej samej szkole podczas jednej lekcji uczy się religji, a podczas drugiej zwalcza się zasady religijne, wygłaszając materjalistyczny światopogląd. Szkolnictwo wyznaniowe odpowiada rzeczywistym potrzebom i pragnieniom społeczeństwa katolickiego i jest zgodne z zasadami sprawiedliwości, czyni zadość nietylko pragnieniom Kościoła katolickiego, ale i innych wyznań. Gdy naprzykład żydom traktatem o mniejszościach narodowych przyznano prawo do szkolnictwa wyznaniowego, katolicy mają prawo żądać tego samego dla siebie.

11) Do artykułu 137: Proponujemy w artykule tym skreślić wyrazy: „utrzymywanym w całości lub części przez państwo lub ciała samorządowe."

Katolicyzm za Oceanem.

I.

Pod tym tytułem zamieszczamy przedruk ciekawych i bardzo głębokich artykułów, które zamieścił w „Dzienniku Chicagowskim", organie Polaków amerykańskich przebywający obecnie

w Ameryce znany wszystkim Czytelnikom Czcigodny Założyciel „Pro Christo" Ks. Marjan Wiśniewski. W pierwszej części znajdziemy krytykę t. zw. amerykanizmu i odważne wytknięcie jego złych stron. Druga część, zawierająca pozytywny wykład zasad Akcji Katolickiej w dostosowaniu do potrzeb katolików amerykańskich, ukaże się w numerze następnym —

REDAKCJA.

— „Czy Ojciec kocha Amerykę?" pytają mnie często na misjach.

— „O tak! ludzi kocham bardzo, coraz więcej, przywiązałem się do nich serdecznie, i myślę, że gdy wrócę do Polski to będę mocno tęsknił za rodakami amerykańskiemi. Ale przeklinam warunki życia amerykańskiego, które z ludzi robią nie — ludzi".

— „Co Ojciec przez to rozumie?"

— „Mam na myśli ducha pogańskiego, który tu rozpościera coraz więcej swoje panowanie i niszczy, co jest bożego w duszach ludzkich. Czy nie mam w tem racji?"

Zazwyczaj przyznają mi rację, bo trudno przeczyć faktom oczywistym.

Na nich tylko opieram swoje spostrzeżenia i wnioski. Proszę posłuchać spokojnie, będę mówił bez owijania w bawełnę, — chociaż wiem z doświadczenia, że to psuje byznes. Ah ten byznes! Słyszałem już tyle pochwał bez cienia prawdy, widziałem tyle kłamliwej reklamy, — tyle fałszywej adoracji ludzi zamiast adoracji Boga, że mi to już kością w gardle stanęło.

Bądźmy szczerzy, otwórzmy oczy i rozwiążmy języki i mówmy prawdę z miłością, bez oglądania się na osoby. Prawda nas wyswobodzi.

* * *

Czytałem przed kilkunastu laty książkę francuską, napisaną w tym duchu. Obecnie została przełożona na język polski i doczekała się w Polsce w krótkim czasie drugiego wydaniania. Tytuł jej: „Życie wewnętrzne a duch apostolstwa"—

przez Ks. J. B. Chautard, O. C. R. (Kraków, Plac Jabłonowskich 3).

Autor, mąż doświadczony zarówno w życiu wewnętrznem,—jako też apostolskiem,—zdołał rozsiać na 300 stronicach takie bogactwo myśli i wskazań, że mogą one stać się źródłem światła i siły nie tylko dla osób duchownych, ale i dla katolików świeckich, szukających głębszego życia chrześcijańskiego.

Książka uderza w błąd, który Autor nazywa zą kardynałem Mermillod „herezją czynu".—Można ją nazwać specjalnie — herezją amerykańską, bo chociaż jest ona zjawiskiem ogólnoludzkiem,—ale w Ameryce najlepiej dojrzała i wybujała. Ameryka nie chce się przyznać do tej herezji, a jednak jest ona faktem oczywistym.

Przekleństwem Ameryki jest zbytnie wylanie się na zewnątrz, co wytwarza pustkę wewnętrzną i wszelką owocną akcję apostolską utrudnia.

Od tego więc błędu zaczniemy.

I.

„Herezja czynu".

Co to jest herezja czynu?

Doskonale ją charakteryzuje Ks. Chautard w swem dziełku „Życie wewnętrzne a duch apostolstwa" na str. 32—35.

„Amerykanizm, wystawia sobie, że przynosi wielką chwałę Bogu, — starając się głównie o osiągnięcie zewnętrznych owoców".

„Usunąć na drugi plan to, co stanowi istotę samą, oto nad czem bezwiednie pracują zwolennicy nowoczesnej duchowości, oznaczonej słowem amerykanizm. Kościół dla nich nie jest jeszcze zborem protestanckim, Tabernakulum nie jest jeszcze puste, ale uważają, że życie Eucharystyczne nie może się pogodzić z wymaganiami cywilizacji teraźniejszej, ani jej nie może wystarczyć, i że życie wewnętrzne, które siłą faktu wypływa z życia Eucharystycznego, już się przeżyło...

„Ten stan umysłów tłumaczy, dlaczego w naszych czasach uznaje się jeszcze szkoły, przytułki, szpitale, misje, a prze-

ciwnie, poświęcenie wewnętrzne przez pokutę, modlitwę, znajduje coraz mniej zrozumienia.

Żeby zaprotestować przeciwko zbytniemu hołdowaniu pracy zewnętrznej w dziełach dobroczynnych, trzeba było aż pamiętnego listu Leona XIII do Kardynała Gibbonsa, arcybiskupa Baltimore".

Więc rzecz nie nowa, bo już przez Leona XIII potępiona, a jednak wciąż jeszcze aktualna. Śmiem powiedzieć, że jeszcześmy nie przeszli w Ameryce z okresu zewnętrznego materjalnego rozwoju Kościoła do okresu wewnętrznego pogłębienia życia nadprzyrodzonego.

I to jest powodem wszystkich niepowodzeń zewnętrznych.

Przed kilku laty spierałem się mocno z pewnym zacnym kapłanem na ten właśnie temat. On twierdził, że wszystkie nasze prace zewnętzne djabli wezmą, bo są podejmowane nie dla Boga, lecz na pokaz, dla własnej chwały. Nazwałem go wówczas pesymistą i starałem się wykazać, ile w tem wszystkiem jest czystego poświęcenia,—które musi wydać stokrotne—owoce.

Dziś nie śmiałbym twierdzić tego z podobną pewnością,—bo widzę na każdym kroku ową herezję czynu zewnętrznego,—nad którą ciąży przekleństwo boże. Sam uległem do pewnego stopnia tej herezji i mogę do siebie zastosować słowa—O. Chautarda:

„Szał życia nazewnątrz wywiera na nas nawet urok nieprzeparty".

Życie wewnętrzne jest nie tylko zaniedbane, lecz wprost pogardzane i ośmieszane, a to przez tych nawet, którzy nadewszystko winni oceniać korzyści i potrzebę życia wewnętrznego...

„W rzeczywistości słysząc — tych ludzi oddających się dobroczynnym dziełom zewnętrznym, opowiadających o swych dziełach, myślećby można, że Wszechmocny, który igrając, stworzył ziemię i przed którym wszechświat jest tylko prochem i nicością, nie może się obejść bez ich pomocy. Pomału wielu wiernych, a nawet kięża i zakonnicy dochodzą przez zbytnie hołdowanie pracy do wytworzenia sobie pewnego rodzaju dogmatu, który kieruje ich zasadami i czynami, oddając

ich bez hamulca życiu zewnętrznemu. Kościół, diecezja, parafja, kongregacja, dzieła potrzebują ich koniecznie.

Jakże byliby szczęśliwi, gdyby mogli powiedzieć: jestem Bogu więcej niż potrzebny. A jeśli jeszcze nie ośmielą się zdradzić z odkryciem takiej — próżności, — to jednak w głębi serca drzemiąca zarozumiałość jest powodem i sprawczynią — osłabienia wiary...

„Idzie on dalej jeszcze i stara się odurzyć nadmiarem mnożących się i źle prowadzonych prac, usuwając w ten sposób wszelką możliwość uzdrowienia".

„Dzieciak! — powiedział pewien poważny kapłan chicagowski — myśli, że, gdy opuści brewjarz i rozmyślanie, to wiele na tem wygra.

My często wszyscy jesteśmy takiemi dziećmi. Przydałaby nam się kontrola".

Święte i mądre słowa. Wziąłem je sobie do serca. Bo zresztą ileż to razy sam się przekonałem, że, gdy tylko opuszczałem się w pracy wewnętrznej pod pozorem pilnych spraw zewnętrznych, wnet stawałem się suchym na ambonie, niecierpliwym w konfesjonale, ciężkim samemu sobie.

Mam przeto odwagę powiedzieć zarówno z własnego doświadczenia jak i z tego, co widzę dokoła, że „Akcja Katolicka" nie ruszy z miejsca, dopóki nie pogłębimy w sobie życia wewnętrznego.

Czy mam jeszcze dodać coś więcej? Sądzę że gdy mam być szczery, to do głębi. Czytałem niedawno uskarżania się pewnego poważnego inteligenta z Chicago.

„W całej archidiecezji Chicagoskiej nie znam ani jednego kapłana z poświęceniem się obowiązkom duszpasterskim. — Oddają się rozrywkom światowym i polityce. Brak dalszego kształcenia się, kazania dla formy, znaczne lub całkowite zaniedbywanie pracy kapłańskiej w szkole, tylko kołnierzykiem różnią się od świeckich. Reforma społeczeństwa pójdzie naprzód z chwilą, gdy księża rozpoczną ją od siebie".

Ten sąd jest stanowczo za surowy i niesprawiedliwy. Nie można tego powiedzieć o wszystkich. Znam wielu kapłanów w tej archidiecezji i gdzieindziej, którzy poświęcają wszystkie—swoje siły pracy nad duszami. Jednak przyznać trzeba, że praca na ogół idzie więcej w kierunku zewnętrznym

niż wewnętrznym, bo taki już nastrój i rozpęd życia amerykańskiego. Księża temu nie winni. Wszak nie spadli z nieba, lecz są dziećmi swojego kraju i swojego czasu, a poniekąd jego ofiarami.

Jeżeli jednak przyznajemy, że kierunek ten zewnętrzny i materjalistyczny jest zły, jeżeli uznajemy potrzebę reformy i powrotu do zasady, że duszą wszelkiej kultury, jest kulturą „duszy", to my duchowni musimy rozpocząć od siebie, a społeczeństwo pójdzie za nami.

Katolicyzm w Ameryce ma wszelkie warunki do potężnego rozwoju, ale podstawą tego rozwoju ma być nieustanne pogłębianie nadprzyrodzonego życia wewnętrznego.

Przyszłość do nas należy.--Akcja Katolicka zmierza ku tej jasnej przyszłości. Podstawą Akcji apostolskiej jest łaska Boża i życie wewnętrzne.

Papież Leon XIII wystosował 22 stycznia, 1899, do Kardynała Gibbonsa, arcybiskupa Baltomore list apostolski, w którym streszcza i potępia błędy współczesne dotyczące w szczególności istoty życia chrześcijańskiego. ·

List zatytułowany: „Testem benevolentiae" stwierdza:

1. Błędem zasadniczym i podstawowym jest twierdzenie, że Kościół chcąc nawrócić niewiernych, powinien przystosować się do postępu kultury i cywilizacji współczesnej, złagodzić swoją dawną surowość nietylko w rzeczach karności kościelnej, ale w rzeczach wiary i dogmatu, czyli pominąć pewne punkty wiary, albo nadać im odmienne od dotychczasowego znaczenie.

Innemi słowy, zwolennicy t. zw. nowoczesnego amerykanizmu domagają się katolicyzmu minimalnego, okrojonego, obciętego, złagodzonego, rozwodnionego, pod pozorem, że taki katolicyzm chętniej będzie przyjęty przez umysły współczesne.

Papież potępia takie zapatrywanie i wykazuje, że podobne ustępstwa nie pociągnęłyby tych, którzy stoją dotychczas przy Kościele, jako instytucji Bożej, która zawsze i wszędzie naucza tej samej prawdy i w tem samem znaczeniu.

Możliwe jest natomiast, mówi Papież, pewne złagodzenie karności kościelnej w tem, co nie dotyczy dogmatu, o ile tego wymagają zmienione warunki miejsca i czasu (np. praktyka postów kościelnych). Sąd jednak o tych zmianach należy do

Kościoła nie zaś do jednostek prywatnych. Na surowe potępienie zasługuje zdanie, że każdy może sobie urządzić życie według wiary wolności uznanej przez współczesne prawodawstwo cywilne.

Wolność państwowa nie zawsze jest świętą wolnością synów Bożych. Inne błędy wynikają z powyższego zasa dniczego.

2. A więc błędem jest twierdzić, że cnoty naturalne mają pierwszeństwo przed nadnaturalnemi. Cenne są niewątpliwie i potrzebne cnoty ogólnoludzkie, naturalne, społeczne, ale bez łaski nadprzyrodzonej, bez cnót chrześcijańskich nie ostoją się one w ciężkiej walce życiowej.

3. Błędem jest rozróżniać cnoty czynne od biernych i pierwszym dawać pierszeństwo, jako więcej odpowiadającym potrzebom czasu. Niema cnót biernych. Każda cnota wymaga wysiłku i każda jest zawsze potrzebna. Jezus posłuszny, cichy i pokornego serca zawsze pozostanie wzorem nieśmiertelnym życia doskonałego. Historja wskazuje, że ci, którzy najwięcej zbliżyli się do tego wzoru, najskuteczniej też przynili się do szczęścia ludzkości.

4. Błędem jest twierdzić, że śluby zakonne krępują wolność osobistą i mało są pożyteczne społeczeństwu. Przeciwnie śluby, uwalniając człowieka od złego, zapewniają mu prawdziwą wolność, Historja Kościoła, a zwłaszcza historja Stanów Zjednoczonych świadczy z jakiem poświęceniem i powodzeniem pracują zakony dla dobra społeczeństwa: nauką, wychowaniem i dobrym przykładem.

5. Błędem jest twierdzić, że kierownictwo Kościoła jest dziś mniej potrzebne, gdyż Duch Święty zlewa obecnie na dusze obfitsze, niż dawniej, łaski i dary. Cała historja Kościoła czego innego dowodzi. Bóg chce zbawiać ludzi przez ludzi i dlatego, prowadzi ku Sobie ludzkość przez Kościół z ludzi złożony. Im kto wyższemi drogami kroczy, tem bardziej kierownictwa Kościoła potrzebuje.

List kończy się nadzieją, że biskupi amerykańscy potępią błędne dążenia fałszywego amerykanizmu, który zmierza do stworzenia kościoła narodowego. Tak się też stało. Prawda Chrystusowa w Leonie XIII wcielona nowe odniosła zwycięstwo.

W teorji, dodajmy—zupełne, w praktyce — walka jeszcze się toczy ze zmiennem powodzeniem.

Duch materjalizmu i wygody życia, duch byznesu i praktycznego powodzenia, duch protestanckiego formalizmu i powierzchowności zabija ducha wewnętrznego, osłabia ducha katolicyzmu.

Gdym był jeszcze w kraju, wierzyłem temu co pisano o postępach katolicyzmu w Ameryce. Dziś uważam to za bajki. Katolicyzm nie postępuje w Ameryce, ale się cofa.

Dla ścisłości dodajmy cofa się zewnętrznie, to jest—masy odstępują od Kościoła.

Według opinji wyrażonej przez najwyższych dostojników Kościoła, powinno być obecnie w Stanach Zjednoczonych 50 do 60 miljonów katolików, licząc tych co tu przybyli i tu się urodzili. A jest tylko 20 miljonów. Gdzie reszta? Utonęła w morzu obojętności, lub niewiary. Pisze się o kilkudziesięciu tysiącach nawróconych rocznie na katolicyzm, a milczy się o miljonach odpadłych.

Miejmy odwagę spojrzeć prawdzie w oczy. Na sto dwadzieścia prawie miljonów ludności, 70 milj. zgórą nie przyznaje się do żadnej religji, 20 przeszło miljonów wyznaje protestantyzm rozbity na 300 sekt i coraz bardziej poganiejący, a ledwie 20 miljonów przyznaje się do Kościoła Katolickiego.

Przyznaje się, mówię, bo z tych najwyżej połowa żyje duchem Kościoła, a reszta tylko ciałem do niego należy.

Nie twierdzę, żę Kościół w Ameryce upada, twierdzę tylko że zewnętrznie się cofa, mimo pozornego rozwoju materjalnego.

Jednakże pośród tej klęski zewnętrznej można dostrzec zadatki ducha, podstawę przyszłego zwycięstwa—dusze święte, których liczba z każdym rokiem się pomnaża. Spotykam je wszędzie—na szczytach i na nizinach. Bóg gotuje swoje zastępy. W przyszłości staną na przeciw siebie w Ameryce dwa obozy: katolicki i pogański. Protestantyzm już dziś nie wchodzi w rachubę, więcej w nim pogaństwa, niż chrześcijaństwa Jeżeli chodzi o walkę z katolicyzmem, to protestantyzm napewno nie stanie po naszej stronie. Więc nie liczmy na nikogo, tylko na Boga i na własne siły, czerpane z głębin życia wewnętrznego.

Nasycone nienasycenie.

Niedawno temu tak się złożyło, że musiałem przedzierzgnąć się w krytyka literackiego. A wszystko stało się po znajomości. Ot, poprostu jeden z mych przyjaciół dał mi rękopis swej noweli, żądając wydania sądu. Zadanie dość trudne. Wprawdzie przy codziennym kieracie redakcyjnym czyta się wypracowane w pocie czoła elaboraty współpracowników i idjotyzmy wściekłych grafomanów, ale tam wystarcza tylko trochę zdrowego rozsądku. Tu trzeba było stać się krytykiem literackim naprawdę.

Nie teraz pora mówić o walorach owej noweli. Ponoć niedługo ma się ona ukazać wśród szeregu innych w osobnym tomie. Może wtedy skreślę o niej parę słów. Bo naprawdę zapowiada się coś nieprzeciętnego w naszej literaturze. Autor, człowiek pełen optymizmu, marzy, by w cyklu powieści dać przekrój, wręcz utrwalić współczesność polską, jak Balzac przed stu laty... Lecz to znów zanosi się na dygresję.

Nowelę czytałem z pełnem zadowoleniem. Upajałem się jej stylem. Taki sugiestywny, mający w sobie coś, czego nie da się wyrazić słowami. A przytem tyle plastyki. Co zaś do treści, to przed oczyma stawał mi ciągle jej twórca. Niezwykłą jest rzeczą obserwować, jak to słowa, słyszane wprzód w zwykłej rozmowie, przetapiają się w dzieło sztuki. Satysfakcja podwójna. Nie mogłem oprzeć się pokusie i oto, kiedy przyszła pora zwrotu rękopisu, w błyskawicznem tempie przepisałem parę fragmentów, aby je móc odczytać raz jeszcze, zanim odbite czernią tysięcy liter nie pójdą w świat na podbój rzesz czytelniczych. Nie godzę się w całości na poglądy autora. Mniejsza o jego nazwisko. Zaznaczę jedynie, że nowela nosi tytuł: „Ślimak". Bohater — to człowiek, zasiedziały w ciasnym kącie na prowincji, z zawodu nauczyciel, który po wielu, wielu latach zetknął się ze swym kolegą szkolnym, znakomitym pisarzem. W podstarzałem wnętrzu mieszkania prowincjonalnego pedagoga ciekawa toczy się rozmowa:

„— Miło tu u was. Taki specjalny nastrój dawnych mieszkań. Oddawna jesteście w tem miasteczku?

— Owszem, od trzydziestu lat.

Łoński spojrzał z niedowierzaniem.

— Trzydzieści lat?

— Czy to niemożliwe?

— Ależ możliwe, oczywiście. Tylko widzicie, ja sam tak bardzo lubię ruch i zmianę, że nie umiem poprostu pojąć innego życia. Trzydzieści lat w jednem miejscu! Czy wiecie, że mnie ciągle dręczy niepokój, że nie zdążę zobaczyć wszystkich miast na świecie, nie zdążę ogarnąć wszystkich spraw i nie napiszę nawet połowy z tego, o czem myślę.

— Nie starczy wam życia — odpowiedział Rodys.

Głos jego zadrżał ledwie dostrzegalną radością.

— Wiem, ale to nie przeszkadza, że pragnę wszystkiego. Taki to, widzicie, ze mnie żarłok. Mógłbym powiedzieć tak, jak pewien młody poeta angielski, nie pamiętam nawet jego nazwiska: „Chcę zobaczyć 1.000 miast, chcę posiąść 1.000 dziewczyn, chcę napisać 1.000 książek".

Rodys milczał. Teraz wiedział już, co go tak zawsze raziło w książkach Łońskiego. Oto właśnie ten nienasycony głód, to niepojęte, oburzające pragnienie życia".

W trakcie lektury zacytowanej noweli nasunęła mi się dziwna asocjacja. Łoński jest fikcją, ale przypomniała mi się postać bardzo pokrewna a rzeczywista, o której kiedyś głośno było na szpaltach pism. To Ewa Lavallière.

Była bożyszczem tłumów, jak dziś Maurice Chevalier, Charlie Chaplin, Clara Bow. Za dawnych, dobrych, przedwojennych czasów... Tak, było to dawno już... Co wieczór w dzisiejszym Babilonie, wielojęzycznym Paryżu, na deskach scenicznych Variétés oklaskiwał ją modny świat. Za jeden uśmiech — burza oklasków i powódź drogiego kwiecia z pierwszorzędnych kwiaciarni. Za jeden występ — majątek małomieszczanina, sumy, będące przedmiotem aspiracyj życiowych człowieka z tłumu. Ona nadawała ton modzie. Często wskutek przypadku. Uległa nieszczęściu: musiała nosić krótkie włosy. A za nią poszedł Paryż i... świat. Krzykiem mody stała się fryzura „a la Lavallière". Nazwisko jej nie schodziło z ust w t. zw. towarzystwie. Trzeba ją było widzieć w każdej roli. Inaczej blamaż, zarzut niekulturalności. Ciągnące do nadsekwańskiej stolicy tłumy snobów nie opuszczały jej, nie zobaczywszy gwiazdy Variétés. Karjera jej była

przedmiotem zazdrości koleżanek, przedmiotem westchnień podlotków paryskich przedmieść i głuchej prowincji. A ona?

Mam tu pewne skrupuły. Wertując kiedyś w zaciszu bibljoteki jakąś starą księgę wynotowałem znamienne zdanie dr. Tadeusza Żulińskiego, najpiękniejszej bodaj postaci z pośród medyków polskich, brata Romana, straconego przez Moskali członka rządu narodowego w powstaniu styczniowem. „Nie dość jest przecież szczęśliwy i sprawiedliwy robić wybór do życiorysów, t. j. umieć odszukiwać postacie czyste, wedle serca Bożego, — brzmi cytat — ale zmienić potrzeba jeszcze i dotychczasowy sposób ich pisania. Daty i drobiazgi, gdzie i kiedy i przy jakich okolicznościach rodził się bohater, gdzie nauki pobierał, kiedy szkoły kończył, jakie okazywał skłonności w dzieciństwie, mogą być przytoczone, ale one nigdy nie powinny stanowić treści życiorysu, bo nie są ani ciekawe ani zbyt budujące".

Bo ja wiem? Może dr. Żuliński ma rację, ale, żeby tak zupełnie... Słuszne to, iż biografja nie może być suchym inwentarzem faktów życiowych, jednak, jeśli chodzi o Lavallière, to właśnie one przedewszystkiem świadczą o przedziwnem jej nienasyceniu, dążeniu do czegoś, co zdobyła po długiem dopiero szukaniu.

Nie myślę pisać szczegółowego curiculum vitae głośnej aktorki. Czegoś podobnego domagać się może najwyżej formalistyka urzędowa. Ale nam cóż to powie? Zwrócić chcę uwagę na najważniejsze fakty. Nie była z niej rodowita Francuzka. Córka emigrantów włoskich, urodziła się — mniejsza o to, kiedy — w portowem Toulon. Ewa Lavallière — to jej pseudonim. Właściwie nazywała się Eugenją Feneglio. Kiedy miała lat osiemnaście, w wyniku dramatu rodzinnego straciła ojca i matkę. Fakt ten potężnie odbił się na dalszem jej życiu. Wspomnienie przykrego wypadku snuło się za nią zawsze, niby ogon za kometą. Sierotą zaopiekowała się ciotka, umieściła ją u zakonnic, dorastająca wszakże dziewczyna uciekła, gnana głodem życia. Śniło jej się życie światowe, nie marna egzystencja w znoju codziennej pracy. Opiekunka była surowa, przyszła gwiazda Variétés czuła lęk przed nią. A pracować trzeba było koniecznie. Nietyle z zamiłowania, co z potrzeby, ustawicznem zaś marzeniem jej było zostać aktorką.

I dopięła swego. Lecz doszła tam nie po różach. Ciernistą naprawdę była jej droga do teatru. Przez tułaczkę z nędzną wędrowną trupą aktorów-włóczęgów, przez nędzę i opuszczenie w nieznanem mieście, przez pierwsze ciężkie próby na paryskim bruku... Pożądała wiele i to pożądanie pchało ją naprzód. Fakt pożądania nadaje wartość nawet temu, co potem posiadane jest całkiem bezwartościowe. Chęć błyszczenia na scenie była dla niej wszystkiem. Narazie skromna figurantka, szczęśliwym zbiegiem okoliczności zastępuje chorą gwiazdę poto tylko, aby zająć jej miejsce. Rewelacja. Talent jej znalazł ujście właściwe. Miała sposobność dać go poznać dyrekcji oraz publiczności. Już bliżej upragnionego celu. Od sukcesu do sukcesu. Plany recenzentów, hołdy publiczności, gaże wzrastają, jak ciasto na drożdżach. Paryż u nóg. A ona?

Krytyka uderzona była jej melancholją. Czuła, że wesołość ulubienicy tłumów jest pozorna, jest maską, kryjącą jakąś tragedję. Osłania serce rozumem, pisał o Larallière jeden z recenzentów—lecz ono nie jest zbyt dobrze ukryte i widać maleńki jego brzeg". A w pełni powodzenia nazajutrz po wspaniałych sukcesach usiłuje rzucić się w odmęty Sekwany. Powstrzymał ją z trudem nieznany z nazwiska przechodzeń. Zdobyła rozgłos, zdobyła fortunę, a nie nasyciła przedziwnego, trapiącego ją głodu.

Tu przerwę snucie dziejów tej interesującej postaci własnemi słowami. Czytałem ubraną w formę powieści biografję jej, napisaną przez Monikę Givelet, oddaję więc głos tej autorce. Kobieta kobietę łatwiej zrozumie, a tembardziej Francuzka—Francuzkę. Nie wchodzę w to, czy autorka wymieniona ściśle trzyma się rzeczywistości. Mnie uderza tam przedewszystkiem barwność opowieści, owa prawdziwie francuska lekkość, która najsuchszy temat czyni ponętnym dla każdego umysłu.

„Dusza Ewy Lavallière była tej dziwnej jakości, że nie mogły jej zadowolnić triumfy czysto światowe. Uczuwała ona nawet w powodzi sukcesów niepokój serca, którego ludzkość nasycić nie zdoła.

— Zazdroszczą mi, — mówiła — ale, żeby wiedziano, jak wówczas cierpiałam, raczejby się mnie litowano. Ludzie ze świata wyobrażają sobie, iż ludzie teatru są szczęśliwi, ponie-

waż są oklaskiwani, pieszczeni. Niestety nie znają przykrej pustki naszej egzystencii, nie znają naszej nędzy.

Nawet w czasie największego bezładu w prowadzeniu się panna Lavallière zachowywała zawsze iskierkę wiary. I wówczas także posiadała szczere nabożeństwo, może nieco zabobonne, do Najświętszej Marji Panny, a w dni prób generalnych nie omieszkała nigdy zapalić świeczki wotywnej w kościele Matki Boskiej Zwycięskiej.

Lecz są to promyki sporadyczne. Nawrócenie Ewy nie dokonało się w jakichś etapach: było ono nagłe, jak błysk, i zaczęło się, jak wodewil, żeby skończyć się, jak oratorjum.

Było to w miesiącu czerwcu 1914 r. Panna Lavallière zamieszkiwała w Touraine mały pałacyk, dokąd przybywała spędzić na swobodzie parę dni, gdy Variétés czyniło przerwę. Posiadłość owa należała do dzieci, których opiekunem był miejscowy proboszcz. To on właśnie miał obowiązek załatwiania spraw z lokatorką. W umowie dzierżawnej zastrzeżone było, że owoce z sadu zbierają na swój użytek właściciele. Panna Lavallière chętnie przystała na to zastrzeżenie. Ale, kiedy zobaczyła czerwieniejące wiśnie, przedsięwzięła kroki celem zmienienia umowy. Wśród takich zabiegów przyszedł zobaczyć się z nią proboszcz.

— Więc cóż? Czy pani zadowolona?

— Tak i nie, księże dobrodzieju.

— ?...

— Te wiśnie, wzbudzają we mnie szalone pożądanie. Żałuję bardzo, że dałam słowo, że nie będę ich ruszać?

— Czyżby, proszę pani?

— Tak. Jednak ksiądz jest okrutny, wystawiając mnie na taką mękę: pozwolić dojrzewać w moich oczach takim wiśniom!

Proboszczowi przyszła myśl zbawienna, jakby niebiańska: Ewa zgubiona została przez jabłko, czyżby więc panna Lavallière nie mogła być zbawiona przez wiśnie?

Nie wahał się:

— Dobrze, stanę się dobrym księciem, ofiaruję pani całą salaterkę albo dwie, nawet trzy. Lecz stawiam pewien warunek.

— Przyjmuję.

— Nie poznawszy go nawet? Zresztą ma pani rację, bo to nie będzie straszne. Oto oddaję cały zbiór wiśni, cały zbiór, rozumie pani, pod warunkiem, że będzie pani w przyszłą niedzielę na Sumie i kazaniu.

— Eh! Tylko to? Ksiądz mnie niepotrzebnie postraszył. Całkiem pewne, że warunek przyjmę. Jeśli Paryż wart jednej Mszy, wiśnie księdza warte zupełnie kazania.

Sprawa została załatwiona.

Przez cały tydzień proboszcz był zatopiony w pisarzach świętych, Ojcach Kościoła i w innych dziełach. Przygotowywał wspaniałe kazanie, któreby wywołało skruchę. A gdy nadeszła niedziela, przed panną Lavallière oraz jej damą do towarzystwa na czele rzeszy wiernych wygłosił je jednym tchem, pełen wewnętrznego zadowolenia, niby generał, co zgóry wie, że bitwę wygra. Po południu żwawo udał się do pałacyku.

— I co pani powie o mojem kazaniu?

— O kazaniu księdza dobrodzieja? Toć ja nie słyszałam nic a nic. Ksiądz wymawia wyrazy tak niewyraźnie, źle artykułuje. Jeśli ksiądz życzy sobie, będę udzielać księdzu lekcyj dykcji.

Zmieszał się proboszcz, widząc, walące się rusztowanie jego nadziei. Czyżby to Lavallière, taka prawa i taka posłuszna miała się wymknąć? Obawiał się wprost myśleć o tem i w parę dni potem powrócił do pałacyku. Przyniósł z sobą małą książkę.

— Przychodzę po sąsiedztwie z małym podarunkiem, wprawdzie bardzo skromnym. Czy raczy go pani przyjąć?

— Niewątpliwie, księże dobrodzieju. Czemużby nie?

— Taką,—i tu proboszcz nie był nadal pokornym sąsiadem, lecz obudził się w nim kapłan—taką książkę taka kobieta, jak pani, czytać powinna na klęczkach.

— Niech mi ją ksiądz dobrodziej da.

I wzięła w swe drobne, śniade ręce „Dzieje św. Marji Magdaleny” o. Lacordaire'a.

Przeczytała je, jak przyrzekła, na kolanach. A skoro się podniosła, łaska wypełniła jej serce...

Córka duchowa ks. Lemaître'a, arcybiskupa Kartaginy, zamierzała wstąpić do Sióstr Białych Matki Boskiej Afrykańskiej, by opiekować się kobietami w Południowym Tunisie. Ciężka

choroba nerek przytrzymała ją na łożu boleści na parę zaledwie godzin przed odejściem okrętu.

Każda godzina jej życia była odtąd znaczona boleścią, boleścią ostrą, upartą, przeszywającą, która w pięć lat zniszczyła chorą i która z ust Roberta de Flers'a na sam jej widok wyrwała długi okrzyk współczucia. Jednak Ewa nie chciała być żałowana. Na progu życia pokutniczego, kiedy zdarzało się jej być oporną pod ciosami upokorzeń czy cierpień, przypominała sobie słowa ks. Lemaître'a:

— „Lecz to wszystko, moje dziecko, jest kluczem do raju".

Trudno tłumaczyć w całości ową frapującą opowieść. Może ktoś ją spolszczy i wyda w książce? Ja muszę szyć koleje nowej Magdaleny grubemi ściegami.

Fakt ostatecznego nawrócenia dokonał się w majowe dni 1917 r. Gdy świat się cały budził z tchnieniem wiosny, i ona wstała do nowego życia. Jej wieloletnie nienasycenie zostało zasycone. Znalazła to, czego szukała. Rzuciła scenę. Wzgardziła poklaskiem tłumów, tym koszmarem zwodniczym. Luksusowe jej apartamenta w pobliżu Champs-Elysées uległy likwidacji. W obce przeszły ręce jej brylanty i klejnoty. Wyrzekła się blichtru świata, bo doszła do skarbca największego: życia duszy.

Rozpoczął się okres bolesny a dostojny. Próby wstąpienia do Karmelu udaremniło słabe zdrowie. Następuje „odbywanie czyśca z walizą w ręku" w towarzystwie oddanej Leony. Lourdes, przyjęcie tercjarskiego habitu franciszkańskiego, cztery podróże do Afryki śladem męczennika Sahary, o. de Foucauld'a dążenie do pracy na misjach—to dalsze etapy.

I oto już ostatnia odsłona tego przedziwnego żywota. Jesteśmy w cichem Thuillières. Strzelista wieża kościoła góruje nad wszystkiem. Niedaleko skromny piętrowy domek, typowo francuski. To „Betanja". Tu żyje teraz zdala od rozgwaru dawna gwiazda Variétés. Cierpi a cieszy się, bo „najlepszą cząstkę wybrała". Nie przyjmuje nikogo ze świata. Żyje dla Boga i ubogich. A świat tak radby wiedzieć o powodach jej kroku. Dzienniki nie mogą o niej zapomnieć. Raz po raz zjawia się na łamach prasy jej nazwisko. Czemu to zrobiła? Może zawód miłosny? Może intryg? Ona milczy. Nie intere-

suje się tem. Cóż ją obchodzi, co o niej mówią ludzie? Nasyciła swe nienasycenie, mniejsza o ich gadanie.

Cierpienia wzmagają się. Trzeba operacji i to bez narkozy. Godzi się bez szemrania. Leży na operacyjnym stole. Widzi wszystko, co czynią lekarze.

— Czy wielkie sprawiam pani boleści? — pyta operujący lekarz.

— Ofiaruję je Tobie, Panie Boże.

A potem agonja. Dzień 10 lipca 1929 r. Śmierć się czai tuż, tuż. Nie lęka się. Gromnica obok krucyfiksu dopala się zwolna. Kapłan u łoża udziela ostatniego błogosławieństwa. Chora blada, jak opłatek. Już tylko resztka życia kołacze się w schorowanem ciele. Kapłan kończy absolucją. Siostra Ewa zamyka powieki. Niema jej na tym świecie. Dusza uleciała wzwyż. Zostały jeno zwłoki.

I jeszcze coś pozostało z jej ja: jej listy z okresu najważniejszego życia. Francuzi, jak to Francuzi, są pod tym względem niezwykle zapobiegliwi. Te prawdziwe perły bolesnego szamotania się duszy wyszły już w książce, aby dać innym poznać, że to, co doczesne, nie nasyci ludzkiego łaknienia, że zaspokoić je mogą jedynie rzeczy wiekuiste. Tytuł publikacji „Moje nawrócenie".

Jakieś wydawnictwo francuskie pisze o niej: „Będąc dokumentem z pierwszej ręki, tworzy jednocześnie lekturę szczególnie budującą przez pokorę, akcenty uczuciowe i niepokonanego ducha wiary, który ją ożywia". Tak trafny dobór listów jest zasługą ich wydawcy, młodego publicysty norweskiego, Per Skansen'a. A trafny jest dlatego, że Skansen sam na krótko przed tą pracą nawrócił się na katolicyzm.

Słowem książka jedyna, kojąca, ucząca. Trudno powiedzieć o niej coś w superlatywach. Będzie to wszystko fałszywe. Pochwały o niej muszą być w słowach najprostszych, by jednak do tego dojść, trzeba ją przeczytać, — powtarzam — przeczytać, nie przejrzeć, przerzucić karty, na co pozwala dzisiejsze niepowstrzymane w szalonym pędzie naprzód życie.

Kasprowiczowską „Księgę ubogich" czytałem w Tatrach. Był wieczor pogodny, jesienny. Początek oszałamiających tatrzańskich księżycowych nocy. Za oknem za plątaniną gałęzi Giewont, leżący sennie, a nad nim roztapiający blaski księżyc,

otoczony wokrąg mgłą delikatnych chmur. Z dworu wpływa powietrze, smaczne, niby woda z polnego źródła w dzień skwaru. I gdy tam się pochłaniało strofy poematu, jakżesz on był inny, niż czytamy przedtem!

Albo Wilde'owski „Portret Doriana Cray'a". Czytałem go jeszcze gdzieindziej. Byłem w wielkim domu sam jeden, Służba daleko w drugim końcu. Rząd pokoi pustych, bo bez cienia człowieka. Echo tylko brzmi głośno wśród wysokich ścian. Na ścianach stare obrazy, jakieś pamiątki dalekich podróży. W dali cyka monotonnie zegar, co widział od paru pokoleń narodziny i zgony członków naszej rodziny. Niemy świadek dni szczęścia i dni boleści, wojen, od powstań począwszy, przemarszow wojsk, bolszewików nie wyłączając. A na biurku i przy otomanie pachną upojnie róże, ostatnie już tej jesieni. Powoli padają ich płatki u podnóża bukietników, za to karty książki przesuwam szybko, tak szybko... Treść powieści była wtedy dziwnie bliska, zrozumiała, porywająca.

Tak, i do czytania „Mojego nawrócenia—trzeba odpowiednich warunków. Kiedy nadejdzie czas upalnych lipcowych dni pojadę na nasze drogie Podlasie i tam w starym domu, gdzie miło biegły dziecięce wakacje, w ciszy zupełnej, jak w „Bretanji", przeczytam naprawdę ową liber mirabilis. Przeczytam i zrozumię dogłębi i o niebo lepiej, aniżeli teraz.

Chciałbym, żeby ten lipiec był już jaknajprędzej.

Józef Marjan Chudek.

Na froncie walki o religję i moralność społeczną.

Memorjał ks. ks. Biskupów w sprawie konstytucji.—Ostry atak „Robotnika".—Ciekawy chwyt polemiczny—Polska a Hiszpanja.—Kryzys ekonomiczny ułatwia działanie kominternu.—„Piatiletka".—Bezmyślność sfer kapitalistycznych.—10-lecie powstania górnośląskiego.—Mali umniejszyciele Korfantego.—Dłużej klasztora niż przeora.

W innem miejscu podajemy w całości bardzo ciekawy i znamienny memorjał Najprzewielebniejszych Księży Biskupów w sprawie zmiany Konstytucji. Na uwagę i podkreślenie zasłu-

guje, iż tematem rozważań Dostojnych Autorów są nietylko sprawy związane ściśle i bezpośrednio z utrzymaniem charakteru katolickiego Państwa i zachowaniem praw Kościoła, lecz również zagadnienia pośrednio tylko związane z zasadami etyki katolickiej, jak np. prawo Prezydenta do umarzania skargi przed prawomocnym rozstrzygnięciem sądowem, reforma ordynacji wyborczej, trybunał konstytucyjny...

Skutkiem tego wystąpienie Episkopatu ma charakter podwójny. Z jednej strony jest to autorytatywne stwierdzenie pewnych minimalnych potrzeb i konieczności z punktu widzenia katolickiego w celu uprzedzenia niejako zgóry jakichkolwiek wątpliwości i usunięcia wszelkich niedomówień w tak kapitalnych zagadnieniach, jak boskie źródło władzy, stanowisko religji rzymsko-katolickiej, małżeństwa, szkoły wyznaniowej i t. d., a to dla „uproszczenia stosunku Kościoła do Państwa" i usunięcia dyskusji i nieporozumień niemiłych „każdemu rządowi Rzeczypospolitej i Episkopatowi". Z drugiej zaś strony widzimy w memorjale również pewien czynnik wystąpienia obywatelskiego, tak, jakby Księża Biskupi pragnęli skorzystać ze swoich praw politycznych i przedłożyć rządowi oraz stronnictwom politycznym projekty rozwiązania poszczególnych fragmentów konstytucji. Przypuszczenie to zdaje się wynikać z pewnych słów listu, który jest dołączony do memorjału i motywuje wystąpienie Episkopatu troską „o dobro Rzeczypospolitej" i pragnieniem „usunięcia walk wewnętrznych". Zwłaszcza ostatni passus o usunięciu walk wewnętrznych staje się bardzo znamiennym ostrzeżeniem, jeżeli zestawimy go z pewnymi skreśleniami, zaproponowanymi w memorjale.

Powinniśmy być wdzięczni swoim Arcypasterzom, że w sposób tak jasny i zdecydowany przedstawili sferom miarodajnym minimalne postulaty katolików polskich. To też prasa katolicka, a nawet w pewnej części prasa, przyznająca się z tych czy innych względów do zasad katolickich przyjęła memorjał z aplauzem.*)

---

*) „Kurjer Warszawski" polemizuje trochę z memorjałem w sprawie proporcjonalności ordynacji wyborczej. Jest zdania, że należy utrzymać proporcjonalność, gdyż inaczej posłowie będą reprezentowali interesy wyłącznie lokalne.

Natomiast w sposób niezwykle ostry i brutalny zareagował na memorjał socjalistyczny „Robotnik". Pismo to zajmuje stanowisko b. dwulicowe w stosunku do religji. Z jednej strony usiłuje często zapewnić swoich robotniczych czytelników, że w gruncie rzeczy nie zwalcza wcale katolicyzmu; gdy zaś zdarzy się sposobność ataku, nigdy nie omieszka zaatakować z furją Kościoła, tłumacząc naiwnie, że jest to walka nie z religją, a z... klerykalizmem. Takie już są obyczaje naszych domorosłych i niedoszłych Callesów i Zamorrów; aksjomatem ich taktyki jest wiara w głupotę i naiwność swoich czytelników i słuchaczy. Oto, co pisze „Robotnik":

„Kardynałowie Kakowski i Hlond wystosowali do premjera, do marszałków Sejmu i Senatu, oraz do prezesów 7 klubów poselskich (BB., ND., Stron. Ludowe, PPS., Ch. D., Klub Ukraiński i Klub Niemiecki) uwagi do projektu zmiany konstytucji, złożonego przez BB.

Uwagi te są ujęte w 11 punktach. W p. 1 autorzy uwag ubolewają, że w projekcie BB. pominięto deklarację z konstytucji marcowej: „W imię Boga Wszechmogącego itd." Autorzy twierdzą, że Bóg jest źródłem ostatecznem wszelkiej władzy, naród zaś jest źródłem bezpośredniem władzy Rzeczypospolitej.

W dalszych punktach autorzy występują przeciw obecnie obowiązującemu systemowi list wyborczych, żądają zniesienia list państwowych, i wyrażają się krytycznie o proporcjonalnem prawie głosowania; domagają się inicjatywy ustawodawczej dla Senatu.

Najciekawsze są oczywiście propozycje autorów, dotyczące spraw religijnych i wychowawczych. Niema tu żadnych niespodzianek. Autorzy domagają się, by religji rzymsko-katolickiej wszystkich obrządków przyznano naczelne stanowisko w państwie, i aby odrzucono dodatek z konstytucji marcowej, „wśród równouprawnionych wyznań", a to dlatego, „aby nie mieszać religji katolickiej z innemi wyznaniami" (!); autorzy opowiadają się oczywiście za małżeństwem kościelnem i przestrzegają przed „ciężką walką", która „musiałaby" powstać w razie odstąpienia od tej zasady; autorzy bronią oczywiście szkoły wyznaniowej.

Episkopat — o ile się nie mylimy — nie został zaproszony przez panów z BB. do zabrania głosu w ankiecie konstytucyjnej. Episkopat zgłasza się więc „dobrowolnie".

Ale to wystąpienie episkopatu jest bardzo znamienne dla naszych obecnych stosunków. Jeżeli kler, mimo konkordatu, tak niezmiernie dlań korzystnego, dyktuje dzisiaj Państwu „katolicką" konstytucję, to jest to dostateczny wskaźnik, jak silny czuć się on musi w Polsce, „sanacyjnej".

W Hiszpanji panowanie kleru ma się ku końcowi, w Polsce zaczyna się dopiero na dobre..."

Porównując Polskę z Hiszpanją, zapomina organ socjalistyczny, że o ile w Hiszpanji duchowieństwo zaangażowało się,

niestety, w dużej mierze w popieraniu monarchji Alfonsa XIII, o tyle w Polsce, ani hierarchję duchowną, ani katolików nie można żadną miarą winić za to, co czyni „sanacja". Przeciwnie, hierarchja nie szczędziła pod adresem sfer miarodajnych zupełnie jasnych uwag i ostrzeżeń (choćbyśmy wzięli ostatni memorjał w sprawie konstytucji), a ugrupowania, stojące na gruncie katolickim w olbrzymiej swojej większości znajdują się w opozycji wobec systemu rządów pomajowych. „Robotnik" ma b. krótką pamięć, jeżeli grozi katolikom przykładem Hiszpanji, zapomina, że jego redaktorzy przechodzili również przez most Kierbedzia w r. 1926. W każdym razie groźba ta jest znamienna, gdyż odsłania zamiary naszych socjalistów. Stoją oni na stanowisku, że w razie jakichś zmian politycznych, należy je wykorzystać przedewszystkiem do walki z Kościołem.

A w Hiszpanji nie jest dobrze. Na początku maja donosiły pisma codzienne p. t. „Komuniści jadą do Hiszpanji".

W ostatnich dniach przejechał przez Polskę w międzynarodowych pociągach szereg wybitnych komunistów z Rosji, udających się do Hiszpanji. Onegdaj jechał cały sztab egzekutywy komunistycznej, przeznaczony dla Hiszpanji. Członkowie jego przebywali dotychczas w Moskwie, jako hiszpańska sekcja trzeciej międzynarodówki. Obecnie, po ustąpieniu króla poczuli się o tyle na siłach, że wybrali się wprost do Hiszpanji.

Przewodniczący tego komitetu, komunista Barcas, oświadczył przedstawicielowi jednego z angielskich dzienników:

Hiszpanja znajduje się wobec przewrotu komunistycznego. Prowizoryczny rząd republikański nie jest w stanie zadowolić żądań mas robotniczych i włościańskich. Błędnem jest zupełnie mniemanie, że półwysep pirenejski nie jest dojrzały do komunizmu. Wprost przeciwnie. Federacyjny charakter nowej republiki może tylko przyśpieszyć wybuch czysto proletarjackiej rewolucji. Gdy Europa znajdzie się pomiędzy czerwoną Rosją na wschodzie a czerwoną Hiszpanją na południu, sprawa światowej rewolucji będzie musiała wejść w decydujące stadjum.

Otóż, niestety, już dojechali... Telegramy ostatnie doniosły o zaburzeniach o wyraźnym charakterze antykatolickim, kilkanaście klasztorów zostało spalonych przez motłoch bezbożniczy, sytuacja jest groźna, niewiadomo na czem się skończy. Alfons XIII źle rządził Hiszpanją, czyżby rachunek za jego błędy miał płacić Kościół!

Pono już Lenin utrzymywał, że najbardziej dojrzałą do przyjęcia komunizmu jest po Rosji—Hiszpanja, ze względu na przestarzały ustrój społeczno-ekonomiczny i snuł dalej ponure

marzenia, że Europa wzięta w kleszcze rewolucji rosyjsko-hiszpańskiej ulegnie wreszcie bolszewizmowi.

Pamiętajmy, że świat, a szczególnie Europa przeżywa straszny kryzys gospodarczy, który wielu ekonomistów i społeczników nazywa zmierzchem i końcem ustroju kapitalistycznego. W związku z tem są bardzo zastanawiające plany ekonomiczne Sowietów, które zapomocą dumpingu pragną pogłębić kryzys i bezrobocie i zapomocą posunięć czysto gospodarczych osiągnąć rewolucję światową. Przytaczamy in extenso bardzo ciekawy artykuł „Głosu Narodu":

„Przed opinją świata staje poważne pytanie: — jak się zachować wobec rosyjskiej „piatiletki"?

Ponieważ „piatiletka" może się udać (częściowo chociażby) tylko dzięki pomocy zagranicy, Europy i Ameryki, pytanie powyższe upraszcza się w ten sposób:—czy kapitał zarówno stały, jak i płynny, ma pomóc w przeprowadzeniu wielkiego eksperymentu Bolszewji?... Pytanie dotyczy pozornie tylko ciężkiego przemysłu i finansjery. W gruncie rzeczy jednak jest sprawą ogólno-społeczną, europejską oraz światową. Niema ani warstwy społecznej, ani narodu, czy państwa, dla których udanie się „piatiletki" mogłoby być bez znaczenia. Przeciwnie! Następstwa udania się olbrzymiej inicjatywy bolszewickiej odbiją się na wszystkich warstwach i na wszystkich państwach, bądź w dziedzinie gospodarczo-handlowej („dumping"), bądź też w dziedzinie ustrojowo-politycznej (rewolucyjne podminowanie świata zachwianego już gospodarczo).

Oczywiście nie Polska, nie Czechosłowacja, ani Jugosławja rozstrzygną tę sprawę. Ich udział w gospodarczych stosunkach świata z sowietami jest za mały. Jednak i dla Polski — może przedewszystkiem dla Polski ze względu na jej sąsiedztwo z Rosją —pytanie powyższe nabiera szczególnego znaczenia, a niedawny wywiad grupy przemysłowców polskich z p. Wierzbickim na czele pytanie to narzuca każdemu myślącemu obywatelowi.

Wywiad grupy p. Wierzbickiego powitała „Gazeta Warszawska" z dużem zadowoleniem, nie omieszkawszy udzielić przy tej sposobności nagany organom prasy, które zajmują „płytkie stanowisko", iż z Rosją bolszewicką nie powinno się utrzymywać stosunków. O cóż bowiem chodzi? Chodzi—dowiadujemy się z organu „Stronnictwa Narodowego"—o to, żeby nawiązać

dobre stosunki gospodarcze z rynkiem tak pojemnym, jak bezmiar Rosji, i do kraju zwozić najwięcej możliwie pieniędzy. Chodzi o interes. Nic więcej tylko interes gospodarczy.

Takie ujmowanie stosunków gospodarczych z Rosją sowiecką nie jest wynalazkiem „Gazety Warszawskiej". Jest ono własnością od dość już dawna sfer ciężkiego przemysłu i finansjery... Róbmy z bolszewikami interes, skoro chcą; takie hasło przyjęły koła kapitalistyczne wszystkich krajów, zwłaszcza Niemiec i Stanów Zjednoczonych... P. Koskowski w „Kurjerze Warszawskim" wylicza, że w roku 1929/30 Stany Zjednoczone dostarczyły Bolszewji na realizację „piatiletki" towarów za 280 miljonów rubli, Niemcy za 234 milj.: Anglja za 160 milj., Persja 47, Polska 35, Francja 34 miljony... A Mr. Hugh L. Cooper, prezes rosyjsko-amerykańskiej Izby Handlowej w Nowym Jorku, podał również interesujące dane z innej dziedziny. Oto w tej chwili pracuje w Rosji nad realizacją „piatitelki" ni mniej, ni więcej, tylko — dwa tysiące inżynierów amerykańskich; 200 wielkich firm przemysłowych St. Zjednoczonych dostarcza potrzebnych narzędzi w czem 44 firmy dostarcza narzędzi z zakresu „wysokiej techniki przemysłowej". Poszczególne zamówienia są nadzwyczajne. I tak Ford otrzymał zamówienia w wysokości 25 miljonów dolarów, „Gen. Electric Co" 26, „Oliver Farm" 12. Amerykańscy przemysłowcy chwalą sobie te zamówienia. Należność otrzymują na dobrych warunkach: 50 proc. przy odbiorze towaru, resztę rozkłada się na dwa lub trzy lata.

Podobnie — Niemcy. Świeżo odbyta w Berlinie konferencja bolszewików (Piatakow) z niemieckimi przemysłowcami skończyła się zamówieniami w wysokości 300 miljonów marek.

Niewątpliwie więc Europa i Ameryka robią dobry interes handlowy z Rosją. Rosyjski pieniądz płynie do krajów przemysłowych... Z pewnością także ze społecznego punktu widzenia jest ten interes narazie pomyślny. Tysiące, miljony ludzi ma pracę i środki do życia dzięki sowietom. Ale sprawa gospodarczych stosunków z Rosją bolszewicką ma jeszcze inną stronę.

Oto realizuje Rosja gigintyczny plan gospodarczo-techniczny tak w zakresie przemysłu, jak rolnictwa. Nazywa się on „piatiletką". Mówią, że się ten plan nie uda w całości. Być może! Ale, co będzie, jeśli się uda w połowie, w dwóch trze-

cich?... Już dziś — jak pisaliśmy przed paru tygodniami — na rynku drzewnym nie ma Rosja konkurencji; niskością cen bije wszystkich konkurentów. Kollektywizacja rolna—spodziewają się bolszewicy—uniemożliwi wszelką konkurencję w zakresie produktów rolnych... Dopiero wtedy może zacznie świat zamykać drzwi do Rosji, a pierwszymi, którzy się tego zamknięcia będą domagać, będą kapitaliści. Lecz będzie to już prawdopodobnie zapóźno.

Albowiem wówczas zacznie się drugi proces w świecie, zniszczone gospodarczo społeczeństwa staną się terenem fermentów społecznych. Trzeba będzie tylko niewielkiego już wysiłku ze strony sowietów, żeby się dzisiejsze ustroje polityczne zawaliły i żeby w ich miejsce powstały sowieckie republiki, poddane Moskwie.

W tym kierunku zdążamy. W tym kierunku — powiedzmy to otwarcie—pcha nas międzynarodowy kapitalizm, owładnięty wyłącznie myślą o doraźnym zysku, a niezdolny do spojrzenia w dal. P. Koskowski przytacza w „Kurjerze Warszawskim" zdanie Lenina:

„Kapitał międzynarodowy nasz wróg, musi nam pomóc w rozwoju naszego państwa i w kuciu broni przeciwko sobie samemu". Tyle „Głos Narodu".

Historja zna wypadki, że niektóre warstwy, czy grupy społeczne same poprostu kopią sobie grób, np. arystokracja francuska przed wielką rewolucją popierała, jak wiadomo, Woltaira, Rousseau i encyklopedystów, a potem na zasadzie teorji przez swych pupilów głoszonych, oddawała głowy pod nóż gilotyny. Niestety, sfery myślące kategorjami liberalizmu ekonomicznego, odznaczają się niezwykłą krótkowzrocznością i ciasnotą umysłu.

Oto w Nr. „Gazety Warszawskiej" z dnia 9 maja znajdujemy artykuł p. t. „Ustawodawstwo społeczne", którego autor z ogromnym przekąsem wyraża się o naszych „zdobyczach socjalnych", które według jego poglądów są „niepomiernym ciężarem dla produkcji krajowej i, co za tem idzie, jednym z najpoważniejszych czynników, wpływających na zamykanie warsztatów pracy i wzrost bezrobocia". Wychodząc z tego założenia p. N.—z. sprzeciwia się dalszym ustawom społecznym (ubezpieczenie na starość? Red. P. Ch.) i krytykuje najważniejsze ustawy

dotychczasowe: o 8 godzinnym dniu pracy i o urlopach dla pracowników. „Przedawnienie roszczeń pracowników fizycznych — pisze z tryumfem—następuje po sześciu miesiącach, a pracowników umysłowych dopiero (! Red.) po 5-ciu latach...”

Nie pisalibyśmy o tym jednostronnym elaberacie, gdyby nie to, że podobne poglądy są w Polsce bardzo rozpowszechnione. Wiele osób powtarza argumenty ekonomiczne z przed 100 laty, jeszcze z czasów szkoły manczesterskiej, chcieliby patrjotycznie zmniejszyć koszta produkcji, ale wyłącznie przez obniżenie głodowych płac robotniczych i świadczeń społecznych, wszelkie zaś dążenia do zredukowania do właściwej normy krociowych pensji i tantjem rozmaitych wybrańców losu traktowaliby, jako oburzający zamach żywiołów radykalnych. Ludzie o tego rodzaju manczestersko-liberalnym sposobie myślenia uważają każdą ustawę społeczną, każdy związek zawodowy za objaw bolszewizmu, religja i Kościół katolicki są dla nich środkiem do obrony prawa własności, pojmowanego przez nich według zasad pogańskich, jak prawo użycia i nadużycia.

Niewątpliwie ustawy społeczne w Polsce nie są doskonałe i wymagają wiele poprawek. Ładnieby jednak wyszło na tem społeczeństwo, gdyby ustawy te poprawiali panowie, którzy za interes „narodowy” uważają interes przedsiębiorców i większych właścicieli i gotowi dla ułatwienia im sytuacji i ewentualnie zwiększenia dochodów — pozbawi urlopów wypoczynkowych miljony pracowników, pozorując to rzekomym dobrem narodu, a nawet często — herribile dictu — powołując się na autorytet Kościoła. Straszliwa ignorancja naszej inteligencji w sprawach społecznych ułatwia tym panom zadanie. Wiele bowiem osób nie czytało Encykliki Rerum Novarum i innych autorytatywnych decyzji Kościoła w kwestji społecznej i nie wie poprostu o tem, że katolicyzm nic nie ma wspólnego z kapitalizmem, że przeciwnie — ustrój kapitalistyczny ukształtował się na zasadach sprzecznych z nauką Kościoła. Świetnym wyjaśnieniem tego zagadnienia był ostatni artykuł J. E. Ks. Biskupa Kubiny, ogłoszony przez K. A. P. Zapytujemy jednak, ilu z naszej inteligencji t. zw. katolickiej artykuł ten czytało!

Przechodzimy do innych zagadnień. Jednym z najważniejszych przejawów upadku moralności w czasach dzisiejszych jest ogromnie szkodliwa propaganda za sztucznym zmniejszeniem

urodzeń. Propaganda ta godzi w samo istnienie Narodu i dlatego dziwnem się wydaje tolerowanie jej przez władze państwowe, zwłaszcza, że osoby, które destrukcyjną tę robotę prowadzą notorycznie i systematycznie, są powszechnie znane. Oto charakterystyka jednego z przedsięwzięć podana na łamach „Rzeczypospolitej":

Z punktu wiedzenia interesów politycznych Polski, która znajduje się w kleszczach nieżyczliwych nam potęg niemieckiej (63 milj.) i Rosji Sowieckiej (147 miljonów)— zdawałoby się, że przyrost ludności u nas jest błogosławieństwem kraju. Byli tacy, którzy cieszyli się, iż po pewnym okresie, wskutek spadku przyrostu ludności w Niemczech—ludność Polski dorówna ludności Rzeszy. Zwracano uwagę, że terytorjum nasze może śmiało wyżywić przeszło dwa razy tyle ludności, ile jej dziś posiadamy. Mamy wreszcie całe połacie kraju słabo zaludnione i źle zagospodarowane, a przedewszystkiem „Polską Syberję"—Polesie.

Warunki gospodarcze wprawdzie nie pozwalają nam na uskutecznienie niezwłocznie naszych planów gospodarczych — ale w miarę sił winniśmy jednak starać się o poprawę stosunków przedewszystkiem w naszych województwach wschodnich, bardzo zaniedbanych i dziś nierentownych. Mamy obowiązek myślenia też i o kolonjach, musimy domagać się przyznania nam części b. kolonij niemieckich w Afryce z tytułu przynależności w dobie porozbiorowej Wielkopolski i Pomorza do Prus. Rewizja mandatów kolonjalnych jest przecie przewidzianą.

Ale zamiast energicznej i na szeroką skalę zakrojonej polityki gospodarczo-ludnościowej — ludziska w Polsce wolą myśleć o propagandzie sztucznego zapobiegania „nadmiernym urodzeniom" w drodze sposobów zalecanych przez p. Boya-Żeleńskiego. To łatwiejsze.

To też przed paru dniami w sali Tow. Higjenicznego odbył się zbiorowy odczyt p. t. „Jak skończyć z piekłem kobiet". Operowano różnemi cyframi, straszono słuchaczy, iż Polska ma najwyższy procent urodzeń (15,9 na 1000), ale starano się przemilczeć cyfry śmiertelności wśród niemowląt i dzieci, oraz szczegół, wcale nie bez znaczenia, iż liczba urodzin w Polsce wzrasta w miarę posuwania się z zachodu na wschód i że do najpłodniejszych należą nasze mniejszości, szczególnie żydowska. Bardzo zaś wątpimy czy pp. dr. Budzyńska-Tylicka, dr. Kłuszyński i Boy-Żeleński będą mieli możność rozwinięcia swej propagandy wśród tych sfer.

Zwolennicy „regulacji" starają się zdezauwać awansem protesty przeciwko ich działalności, twierdząc, iż osoby protestujące przeciwko niszczeniu rodziny, sami stosują środki zapobiegawcze. Jest to twierdzenie złośliwe, ale i gołosłowne.

Stanowisko społeczeństwa katolickiego musi być wobec tych poczynań bezwzględnie wrogie. Sprzeciwiają się one bowiem etyce chrześcijańskiej, która zna jeden tylko sposób przeciw nadmiernej liczbie urodzin—wstrzemięźliwość małżonków. W całym świecie zresztą wielkie wrażenie

wywarła ostatnia encyklika Ojca św. Piusa XI o małżeństwie. Stanowisko Kościoła jest w niej, w poruszanej sprawie, wyraźne i bezkompromisowe.

Działacze radykalni, obradujący przy ul. Karowej, mogą być istotnie pewni, że napotkają ze strony katolickiej bezwzględny i stanowczy opór.

* * *

W dnię 3 maja przypadła 10 rocznica trzeciego powstania górnośląskiego. Ten, który ma bezsprzecznie największe zasługi w przyłączeniu Górnego Śląska do Macierzy Polskiej — wódz ludu śląskiego Wojciech Korfanty w ten sposób scharakteryzował w piśmie swoim „Polonji" znaczenie trzeciego powstania śląskiego:

„Czem więcej oddalamy się od historycznego wyzwoleńczego wysiłku ludu śląskiego, jakim było Trzecie Powstanie, tem żywiej odczuwamy potrzebę zrozumienia jego istoty. A potrzebę tę rodzi nietylko pragnienie historyka i psychologa, aby określić i ocenić źródła wielkiej siły ducha i mocy serca, które ludowi śląskiemu tego jedynego w swoim rodzaju w dziejach polskich bohatertwa dokonać pozwoliły.

Wszystkie inne bowiem powstania polskie i porywy zbrojne o odzyskanie utraconej niepodległości, były ruchami szlachty i w części mieszczaństwa, w których lud polski udziału nie brał, a jeśli brał, to zdobywano jego pomoc obietnicami materjalnej natury.

Wielkie Powstanie Śląskie z 1921 r. było w całem tego słowa znaczeniu walką wyzwoleńczą Nieznanego Powstańca Śląskiego. On tę walkę podjął, szczęśliwie stoczył i osięgnął zwycięstwo, które nietylko okryło sławą nieśmiertelną skroń jego, ale złączyło z Polską znaczną część ludu śląskiego, wniosło do jej skarbca moralnego wielkie walory moralne a przyniosło jej w dodatku ziemię bogatą w skarby, które ugruntowały jej mocarstwowe stanowisko w świecie. Nieznany Powstaniec Śląski nie szedł na tę krwawą wyprawę, by realizować jakieś cele polityczno-partyjne, które zasugierowała mu obca wola, nie szedł pod przymusem jakichś ustaw wojskowych lub dyscypliny obowiązującej w regularnych armjach, tworzonych na podstawie powszechnego obowiązku służby wojskowej. Źródła tej siły leżały poza granicami spekulacji rozumowej, płynęły bowiem z tajemnych głębin pozaziemskich, z jego prawdziwego patrjotyzmu wyrosłego na dobrze uprawionej glebie religijnej, która była podstawą jego moralności indywidualnej i zbiorowej. Gruntownie musiał pracować na tej glebie pług, zanim ten piękny siew zeszedł. Nieznany Powstaniec Śląski przejęty był do głębi duszy tą prawdą, że człowiek sam nie jest niczem, a żyje tylko przez innych, bo społeczeństwo jest zorganizowanem życiem ludzi przez innych i dla innych, dla którego człowiek ponosi ograniczenia i poświęcenia aż do niesienia w ofierze życia na ołtarzu dobra społecznego. Jego wiara w zwycięstw była niezłomna. Głęboko był przekonany, że ofiara krwi nie mogłaby pójść na marne. Zaś w umyśle jego nie powstawała nigdy myśl, by mierzyć swe poświęcenie miarą wartości materjalnych, doczesnych, nie związanych z wartościami nadziemskiemi. Tylko ciury w etapach lub spekulanci przy sztabach kładli na wagę ofiarę Nieznanego

Powstańca pilnie śledząc, ile im może wydźwignąć korzyści materjalnych, orderów, sukcesów w dziedzinie karjery lub polityki. Nieznany Powstaniec poświęcał się pod nakazem praw duchowych i moralnych, które same w sobie swą wartość mają. Dążył do wolności i to do moralnej wolności. I dlatego też podporządkował się przykazaniom tych praw, stanowiących niezmienną podstawę życia narodów..."

Czyż nie jest znakiem czasu, że niektóre ustępy tego właśnie artykułu W. Korfantego o powstaniu górnośląskim zostały obłożone konfiskatą w 10 rocznicę powstania, na którego czele stał autor. On zaś sam, b. komisarz wyborczy, niestrudzony bojownik o wolność Górnego Śląska, który walczył lat kilkadziesiąt w najcięższych warunkach o polskość tej dzielnicy wówczas, gdy inni się jej lekkomyślnie i małodusznie wyrzekali — nie został nawet zaproszony na uroczystość 10-lecia, urządzaną przez dzisiejszych panów i władców Polski.

Nie dość tego. Podczas samej uroczystości usiłowano w sposób nędzny, urągający wszelkiej etyce społecznej zniesławić Korfantego i obedrzeć go z wszelkich zasług, aby laury zdarte z jego głowy ozdobiły rozmaitych pp. „Borelowskich" et tutti quanti. Śmieszne usiłowania... Historja nie da się sfałszować na dłuższą metę i odda sprawiedliwość wybitnym mężom stanu, karły zaś i rozmaite mizeraki duchowe potrafi ulokować w odpowiednim miejscu; jeżeli wogóle raczy o nich wspomnieć, to co najwięcej sławą herostratową ich obdarzy. Zaiste, dniami i nocami winien prosić Boga p. „Borelowski" aby czyny, które pełnił na Slązku, nie stały się historycznymi... Zdaje się jednak, że nie uniknie tego zaszczytu wraz z całym szeregiem znanych i nieznanych..... działających na innych terenach...

Mimowoli wyświadczył p. Grażyński przysługę społeczeństwu. Mianowicie, zainicjowany przez niego atak na Korfantego skłonił wodza III powstania do napisania ciekawej rozprawy p.t. Marzenia i zdarzenia. Dzięki temu, społeczeństwo dowiedziało się o wielu ciekawych faktach które miały miejsce przed i w czasie powstania. Genezę powstania opisuje W. Korfanty w sposób następujący:

„— Gdy po plebiscycie moi mężowie zaufania zaczęli mi donosić o rozbieżnościach zapatrywań członków Komisji Międzysojuszniczej co do naszych granic, gdy na podstawie własnych informacyj źródłowych przekonywałem się, że Anglicy i Włosi chcą nam przydzielić tylko powiaty: Rybnicki, Pszczyński i skrawek Katowickiego, byłem zmuszony poprosić

do siebie do hotelu Lomnica p. Mielżyńskiego i wezwać go, by się przygotował do ostateczności. Przy tej rozmowie byli obecni p. marszałek Wolny, dr. Dąbrowski i inni. Było to około 24 czy 25 kwietnia 1921 r. Poprosiłem wtedy p. Mielżyńskiego o przedstawienie mi stanu sił w ludziach, broni i amunicji i przedłożenie mi planu kampanji.

W pierwszych dniach maja miała zadecydować na posiedzeniu w Londynie Rada Najwyższa między innemi o podziale Śląska, na podstawie propozycyj Międzysojuszniczej Komisji w Opolu. Wiedziałem, że będą dwie propozycje, jedna krzywdząca nas włosko-angielska, druga francuska.

Czekałem na dokładne informacje o treści tych propozycyj i terminie ich wysłania do Londynu.

Liczyłem się z tem, że sprawa granic Śląska może przyjść na porządek dzienny w Londynie około 5 maja. Potrzebnych danych miał mi dostarczyć konsul generalny Daniel Kęszycki. Dnia 29 rano dał mi znać, że w ten sam dzień po południu Komisja Międzysojusznicza wykończy swoje propozycje, które wieczorem mają odejść do Londynu. Zapowiedział, że tego samego dnia dostarczy mi szczegółowych i definitywnych informacyj w umówionem miejscu.

Miejscem tem był majątek ś. p. Kazimierza Niegolewskiego, Czarny Las w pow. lublinieckim. Tam się też udałem. P. Kęszycki przyjechał do Czarnego Lasu o godz. 1 w nocy z 29 na 30 kwietnia i przywiózł szczegółowe informacje. Na podstawie tych informacyj trzeba było rozpoczynać powstanie najpóźniej w nocy z 2 na 3 maja, aby wiadomość wywarła swój skutek w Londynie.

Z Czarnego Lasu wróciłem do Bytomia o godz. 4 rano i natychmiast zabrałem się do pracy. Trzeba było na wszelki wypadek uporządkować archiwum i zabezpieczyć tajne dokumenty, zwołać posiedzenie przywódców partji politycznych i związków zawodowych, przygotować odezwy i manifesty do ludu.

W dniu 30 kwietnia zwołałem na wspólne posiedzenie do „Lomnica“ szefów wydziałów Komisarjatu Plebiscytowego, przywódców partji politycznych i związków zawodowych, oraz przedstawicieli siły zbrojnej o osobie p. Mielżyńskiego, który sprowadził z sobą jeszcze kolegę, którego nazwiska nie pamiętam.

Nastrój był nader poważny. Każdy zdawał sobie sprawę z doniosłości chwili i odpowiedzialności Zebranym przedstawiłem obraz sytuacji politycznej, domagającej się decydującego kroku. Zakończyłem wnioskiem rozpoczęcia ruchu zbrojnego i strajku generalnego. O stanie sił zbrojnych i ich zaopatrzeniu w broń i amunicję referował p. Mielżyński. Dyskusja była krótka, ale poważna. Zarządziłem głosowanie. Wszyscy wypowiedzieli się za rozpoczęciem powstania i strajku generalnego. Widziałem starych działaczy, którzy ze łzą w oku podnosili rękę. Bo to byli ludzie, którzy mieli posyłać na pole śmierci swe dzieci, swych najbliższych, swych towarzyszy. Ale żywo odczuwając swoje związanie z całością, której na imię Ojczyzna, czuli się zobowiązani do wszelkich ofiar.

Termin wybuchu oznaczono na noc z 1 na 2 maja, lub na dzień następny, zależnie od tego, jak zdołam rozpowszechnić potrzebne wiadomości o krzywdzącej propozycji granicznej włosko-angielskiej.“

Lud górnośląski jest wytrwały i mocarny. Wytrzymał długie wieki germanizacji, ciężkie doświadczenia wojny i plebiscytu, wytrzyma tak samo eksperymenty rozmaitych panów „Borelowskich”. Niech wiedzą bracia górnoślązacy, że w tych ciężkich próbach dnia dzisiejszego, zarówno gospodarczych, jak i politycznych olbrzymia większość społeczeństwa polskiego, dążąca do stosowania w życiu publicznem zasad moralności katolickiej i sprawiedliwości — jest całym sercem z nimi. System, który jest przejawem choroby organizmu narodowego skończy się prędzej, czy później. Musimy wierzyć, że siły żywotne narodu zwyciężą i przygotowywać już teraz własnymi rękoma to zwycięstwo. *S. J. K.*

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Madonna mistrza Francesco.

Renaissance, okres dziwnych kontrastów i przeciwieństw: rozszalałe rozpustą tłumy złotej młodzieży i ponura nędza pospólstwa; ostatni mohikanie ascezy średniowiecznej i humaniści szukający rozrywki w sprośnych „Dekameronach”. Na tej Italji XV wieku, pijanej żądzą użycia, skąpanej w krwi bratobójczej tworzy największe arcydzieła sztuki plejada tytanów pędzla i dłuta. Michał Anioł Buanarotti, Rafael Santi, Leonardo Davinci—to ci nieliczni szczęśliwcy, którzy zdobyli sławę wiekopomną, iluż jednak utonęło w zapomnieniu, lub niezdołało błysnąć iskrą genjuszu, znajdując się w skrajnej nędzy.

W owych to czasach żył we Florencji rzeźbiarz imieniem Francesco. Zapewne niewielu ludzi słuszniej od niego mogłoby być nazwanym „dzieckiem szczęścia”. Kostyczna i złośliwa dla innych „fortuna” dla niego była dziwnie łaskawa i szczodrobliwa. Z małego umorusanego włóczęci stać się ulubieńcem samego „Il magnifico”, Wawrzyńca Medycensca, to nawet dla wielkiego talentu nielada skok. Nie jeden zginął zanim zwrócił na siebie uwagę możnego protektora; on—używał życia w promieniach łaski pańskiej, kształcił się w sztuce

rzeźbiarskiej i szybkim krokiem dążył ku słońca sławy i bogactwa.

Wkrótce zatarły się w umyśle „Francesca" wspomnienia z lat dziecinnych. Zanikła pamięć o przeżytej niegdyś nędzy i pełnym haustem pił z puharu rozkoszy doczesnych. Młody, pełen niespożytej energji i wiary w przyszłość, bożyszcze kobiet, dla których talent i płomienna iście południowa uroda była nieprzepartym magnesem — czyż mógł, czyż miał czas zastanawiać się nad cieniami i cierniamy życia. Jedno go tylko wyróżniało od przeciętnego typu „złotego młodzieńca"— wielki talent. Gdy z dłutem w ręku zbliżał się do bryły marmuru wówczas dziwna zachodziła w nim przemiana. Natchnienie zdawało się czynić go innym człowiekiem, wzrok nabierał niezwykłego połysku, twarz zaciętego wyrazu, a ręka uzbrojona w młot spadała szybko i pewnie. Dłuto w rękach artysty stawało się nagle czemś żywem, żłobiło kamień z niebywałą precyzją i dokładnością.

Francesco był przekonany, że całe życie usłane będzie miał szczęściem i uśmiechem losu i zapewne miałby słuszność, gdyby nie zaszedł wypadek, który pokrzyżował marzenia artysty.

Podówczas żył we Florencji duch jasny i wielki, pogrobowiec średniowiecza—Savonarola. Nikt nad niego nie umiał umiejętniej przemówić do duszy ludzkiej i obudzić z popiołów zobojętnienia i grzechu, iskrę wiary. Płomienne kazania natchnionego sługi Bożego ściągały nieprzeliczone tłumy z najodleglejszych okolic Włoch. Powodowany ciekawością zaczął na nich bywać i Francesco. Z początku interesowały go tak jak interesują zwykłe przedstawienia teatralne; prędko jednak moc ducha jaka biła ze słów poczęła przenikać jego spoganione sumienie. Porównując wymownych, uczonych humanistów z tym szczupłym mnichem przyznawał temu ostatniemu palmą pierszeństwa. Pierwsi może bardziej byli układni w swych dowodzeniach, może ich uczone, kunsztowne oracje były większą rozkoszą dla słuchu i smaku wyrobionego na wzorach klasycznych, ale nie potrafili jednego — zatargać głębią jestestwa człowieczego, a ów dominikanin potrafił, o i jak potrafił. Zdawało się, że słowa jego wirują w powietrzu, wpadają do strun duszy ludzkiej i wygrywają na nich potężną,

błagalną symfonję, która wznosi się z serc, przypadłych w skrusze do posadzki kościelnej i ściele się do stóp Przedwiecznego utajonego w złocistym tabernaculum.

Przyszedł wreszcie w życiu Savonaroli dzień, jaki miał Chrystus, jaki mieli wszyscy prorocy — dzień męki. Dwudziestego trzeciego maja 1498 r. wyległa Florencja napawać się krwią „sprawiedliwego". O i jego najbliżsi uczniowie spłonęli na stosie ofiarnym, w umiłowaniu prawdy, u której głoszenie oddali życie i godziny nadludzkich cierpień.

Pośród ciekawej gawiedzi stał oniemiały Francesco. W młodej głowie, nieznającej okrucieństwa i ohydy ludzkiej, nie mogło się pomieścić dlaczego ten co głosił dobro, miłość i prawdę strasznie ginie, podczas gdy tylu zbrodniczych, lecz możnych nędzników żyje otoczonych podziwem i uwielbieniem motłochu, który poza pozłotą blichtru nie potrafi dojrzeć ich zgnilizny moralnej.

Cała nieznieprawiona jeszcze natura artysty wrzała buntem i protestem, niestety bezsilnym. Nienawistnym stały mu się te tłumy, które tak niedawno czciły Savonarolę, jak świętego, a teraz wyszły z uciechy na widok jego męki i ciskały przekleństwa. Gdy minęło pierwsze odrętwienie wycofał się Francesco z tego potwornego widowiska i postanowił opuścić na zawsze rodzinne miasto. Marną wydała mu się sława, czyż mógł go obchodzić podziw tych, którymi pogardzał. Zapragnął zdala od gwaru miejskiego, szukać spokoju, aby uciszyć potargane nerwy.

Minęło lat kilkanaście. Francesco przez ten czas zaniedbał rzeźbiarstwa. Po dłuższym pobycie w murach klasztornych odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Przebrany w strój pielgrzymi rozmyślał w dalekiej Palestynie, nad największą tragedją, jaką znały dzieje świata. Pośród rozmyślań i wędrówek narodziła się w duszy artysty nowa myśl. Postanowił dać widomą syntezę swego życia, połączyć uprawianą niegdyś sztukę z obecną wiarą, wyrzeźbić statuę Madonny. Miało to być największe jego dzieło, któreby potęga artyzmu, tak jak niegdyś Savonarola wymową, przemówiło nawet do niewierzących.

Po całych dniach umartwiał się i błagał Boga, aby pozwolił mu wypełnić zamierzoną pracę. Przytłaczał go ogrom zadania. Chwilami zdawało mu się, że to pycha podsunęła mu

ten zamiar. Jakżeż on, niegodny proch potrafi wyrzeźbić cudowne rysy Niepokalanej? Czyż dłuto śmiertelnika potrafi oddać oblicze Marji, przedziwną słodycz jej wyrazu, i tę Boską moc ducha, która promieniuje z świetlanej postaci Królowej Nieba i Ziemi? Tłumaczył sobie jednak, że przecież chce uczynić nie dla próżnej sławy, lecz ku czci Matki Bożej, dla której, jak większość Włochów miał wrodzone nabożeństwo. Wierzył, że potężna „Orędowniczka" ześle mu natchnienie. Przez tyle lat odwykł od dłuta, lecz czuł że skoro owionie go atmosfera Florencji wróci mu dawna biegłość. Jakoż po uciążliwej podróży przybył do zdawna niewidzianego, a ukochenego miasta. Opuścił je młodzieńcem, powitał — przedwcześnie podstarzałym od przeżytych trudów, lecz duch w nim jak przed laty gorzał wielkim i jasnym płomieniem zapału.

Z dziwnem wzruszeniem przebiegał po dobrze znanych placach i ulicach, przyglądał się wspaniałym, a dawno niewidzianym pałacom. Florencja była ta sama, jak zawsze piękna i wspaniała, tylko zapomniała już o istnieniu Francesca. On nie miał zamiaru się przypominać, myślał o jednem — o swojem dziele. Był w nim już tylko artysta, przeniknięty wielką myślą wydania na świat nowego dzieła. W umyśle krążyły mu różne koncepcje, lecz czuł instynktownie, że w ostatniej chwili zestrzelą się w jedno ognisko i skrystalizują się w coś wielkiego. Napawało go to niecierpliwą radością. Byle jaknajprędzej, dorwać się do bryły marmuru i zakląć w niej świętą iskrę genjusza.

Wreszcie zdobył na pracownię rozwaloną szopę i począł rzeźbić. Pod rylcem pryskały ustawicznie odłamki marmuru. Nieforemny z początku głaz nabierał z każdą chwilą kształtów, poczęła się z niego wyłaniać żywa postać. A on kuł wciąż niestrudzenie, z całym ogniem południowej natury, w dzień — w promieniach słońca, w nocy — przy świetle księżyca. Jakaś ekstaza trzymała go przy pracy. Czasami przerywał, wpatrywał się godzinami i znów łamał niestrudzenie marmur. Zdawało się, że twardy głaz pod jego rylcem staje się dziwnie uległy i posłuszny. Każdy cios nieomylnego dłuta posuwał dzieło naprzód.

Aż wreszcie, niekształtna bryła przeistoczyła się w postać o cudnych kształtach, z załamów marmurowych promie-

niowała, anielska, niewypowiedziana, nieziemska piękność. Słodycz wyrazu zlewała się ze szlachetną powagą w boską harmonję. Można było sądzić, że się ma przed sobą nie rzeźbę, lecz skrystalizowaną wiarę.

Gdy Francesco zrozumiał, że dzieło jest skończone, że każde nowe uderzenie rylca byłoby zbrodnią i zniszczyłoby całe arcydzieło, upadł na kolana i za ewangielicznym Symeonem powtórzył w największej pokorze: Teraz puść panie sługę swego w pokoju".

Za pośrednictwem sąsiadów rozbiegła się po Florencji wieść o cudnej figurze Madonny. W uroczystej procesji zaniesiono ją na największy plac florencki i wystawiono na widok publiczny. Gdy cała ludność podziwiała twór genjusza artysty i korzyła się przed czarem i tajemnicą piękna, jeden człowiek nie brał w tej uroczystości udziału — Francesco; w łachmanach, bez butów nie śmiał w dniu tak wielkim wyjść na ulicę. Gdy zabierano mu jego Madonnę, przeszył go niewypowiedziany ból na myśl, że traci to co w ostatnich czasach było celem jego życia, w co włożył wszystko co miał najlepszego: wiarę płomienną i talent tytaniczny. Padł martwy w swoim warsztacie. A Ta co mu była gwiazdą przewodnią za życia, utuliła duszę wiernego sługi w swój płaszcz gwiaździsty i przywiodła ją przed Tron Najwyższego.

Zygmunt Prószyński.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Ks. Biskup Kubina, o kryzysie systemu kapitalistycznego. Katolicka Agencja Prasowa podaje bardzo ciekawy i charakterystyczny artykuł biskupa częstochowskiego ks. Teodora Kubiny p. t. „Dzisiejszy kryzys gospodarczo-społeczny, a misja społeczna Kościoła Św".

Na wstępie autor stwierdza, że przeżywany obecnie kryzys gospodarczy przyniesie bodaj czy nie większe zmiany, a nawet przewroty na świecie, niż wojna światowa, która, zdaniem autora, była tylko ukrytym wstępem do dzisiejszego rozwoju wypadków.

Kryzys dzisiejszy, którego cechy zasadnicze stanowią powszechność i długotrwałość, wywołany jest wyłącznie tylko przyczynami, całkowicie zależnemi od człowieka. Nie jest jego przyczyną przeludnienie ziemi lub zbyt mała — w stosunku do konsumcji — produkcja. Przeciwnie, powodem jest nadmiar dóbr gospodarczych. Wytworzył się więc paradoksalny stan, który sprawił, że ludzie nie mają chleba i chodzą goło i boso tylko dlatego, że w magazynach i składach potworzyły się niezmierne zapasy tych produktów.

Na podstawie powyższych przesłanek autor dochodzi do wniosku, że przyczyna zła tkwi w samej strukturze gospodarczej i że dzisiejszy ustrój społeczno-gospodarczy, według którego odbywa się produkcja i podział dóbr, już

nie może sprostać warunkom, jakie z biegiem czasu wytworzyły się na ziemi. Kryzys więc dzisiejszy jest kryzysem ustroju gospodarczego, a co za tem idzie. musi się od poddać przeobrażeniu. albo nawet całkowicie ustąpić. System kapitalistyczny złamał swój stos pacierzowy. Indywidualizm gospodarczy i wynikająca z niego zasada wolnej, nieograniczonej dla wszystkich konkurencji dziś już została porzucona przez samych kapitalistów, którzy próbowali uregulować stosunki przez utworzenie we wszystkich dziedzinach potężnych trustów, dyktujących warunki produkcji i handlu. Ten zabieg również nie pomógł. Brak wolnych rynków sprawił, że świat stał się ciasny i zamknięty, to też podstawowy warunek dla istnienia ustroju kapitalistycznego przestał istnieć!

Jaki się wytworzy ustrój w niedalekiej przyszłości — tego nikt przewidzieć nie może. Jasnem jest tylko, że niema na świecie narodu czy państwa, któreby potrafiło rozwiązać to zagadnienie w ramach swego organizmu społecznego. Walka musi być prowadzona wspólnym wysiłkiem całej ludzkości lub przynajmniej większej części, a do tego nieodzownym warunkiem jest pokój powszechny i zlikwidowanie niezliczonej ilości antagonizmów, istniejących pomiędzy narodami.

I oto — konkluduje autor — doniosłem zadaniem Kościoła jest wytworzenie atmosfery pokoju pomiędzy państwami i klasami społecznemi, która będzie podstawą do solidarnego przeprowadzenia koniecznych reform w wszechświatowym życiu gospodarczem.

„Królowa Korony Polskiej" Dr. M. Skrudlik. W kościołach, rozrzuconych na całym obszarze Polski, pomimo wojen, pożarów i barbarzyństwa obrazoburców, pozostało jeszcze sporo godnych uwagi obrazów, wśród których znajdują się przeważnie wizerunki Matki Boskiej, której kult był u nas zawsze żywy. Pochodzą one z różnych epok i malowane są przez różnych artystów.

Ikonografją Matki Boskiej w Polsce zajął się dr. Mieczysław Skrudlik i w szeregu ciekawych szkiców, ukazujących się w książce p. t. „Królowa Korony Polskiej", zdał sprawę z wyniku swoich w tym kierunku poszukiwań i badań.

Książka, obejmująca historję sztuki kościelnej w Polsce tłumaczy na szeregu przykładów, z ilustrowanych 109 - ma wizerunkami Najświętszej Panienki, jak to na przestrzeni długich wieków ścierały się ze sobą u nas dwie kultury: łacińska i bizantyjska i jakie w sztuce naszej pozostawiły one ślady.

Dr. Skrudlik robi między in. ciekawą uwagę, iż w malarstwie polskiem brak typu Madonny renesansowej, i że od typu gotyckiego i bizantyjskiego przeszliśmy odrazu do baroku, wzorującego się na malarstwie włoskiem, francuskiem, i hiszpańskiem.

Książka o Królowej, Opiekunce i Orędowniczce narodu polskiego, napisaną z dużą wiedzą artystyczną i z całkowitem opanowaniem przedmiotu, warto się specjalnie zainteresować.

Wydawnictwo Prawdy Katolickiej. Od kilku miesięcy wychodzi w Radomiu pismo pod nazwą: Prawda Katolicka.

Pismo to oświetla dogmaty Kościoła Katolickiego zaczepiane przez sekciarzy, wykazuje błędy sekciarskie i informuje o ruchach sekciarskich w Polsce.

Jest to pierwsze i jedyne swego rodzaju pismo w Polsce. Prawdę Katolicką bardzo polecamy naszym czytelnikom.

Redakcja i Administracja: Radom, ul. Żeromskiego 49. Prenumerata roczna 5 zł. Konto P.K.O. 68.353.

Moje Nawrócenie. Wydawnictwo O.O. Dominikanów, Lwów 1931.

Jak zaznacza słowo wstępne, „dziełko to cechuje bezpośredniość i prostota szczerego opowiadania. Równocześnie przykuwa ono czytelnika różnobarwnością wypadków i przeżyć, potrąca o to, co w człowieku najintymniejsze, o jego duchową strunę. Jest to wzruszająca opowieść o łasce Bożej, działającej różnorodnie w duszach członków jednej i tej samej rodziny. Ta różnorodność opiera się na odmienności usposobień i na rozmaitym stopniu

wierności natchnieniom łaski, która je prowadzi do posiadania prawdziwej wiary".

Trudno lepiej i treściwiej scharakteryzować to dziełko. Chwyta ono do głębi za serce, przykuwa do siebie czytelnika do tego stopnia, iż nie oderwie się on od niego, dopóki jednym tchem go nie przeczyta, wzruszywszy się i rozczuliwszy niejednokrotnie aż do łez tą opowieścią.

Są to dzieje duszy zakonnicy Najświętszego Serca Jezusowego (Sacré Coeur) Matki Katarzyny Nicholl, pochodzącej ze starej arystokratycznej rodziny angielskiej, jednocześnie opis wpływu i działania łaski Bożej na jej najbliższe rodzeństwo. Wiek jej dziewczęcy przypadł na początek ruchu oksfordzkiego, którym cała rodzina była głęboko zainteresowana; jesteśmy tu świadkami jego wielkiego wpływu na zmianę pojęć religijnych u najwybitniejszych członków społeczeństwa angielskiego i nawrót jego najszlachetniejszej części ku Kościołowi Katolickiemu.

Wśród wielu żywotów, świeżo wydanych, ten żywot ze względu na swoją wartość poczesne miejsce zajmie w naszej literaturze religijnej.

X. W. Ł., M. I. C.

Ks. Antoni Dragon T. J. Za Chrystusa Króla. Do zapoznania się z walką, jaka się rozgrywała niedawno w Meksyku o panowanie Chrystusa w sumieniach i duszach ludzkich, posłużyć może żywot O. Pro T. J., męczennika za sprawę Chrystusową. Podziwiamy tu jasną i przepiękną postać bohatera, nieustraszonego i ni[illegible]dowanego wojownika o dusze ludzkie. Szczęśliwą była myśl wydawców umieszczenia ilustracji, dzięki czemu mamy tu niejako dwa żywoty: jeden — pisany, w słowach, drugi, który niemniej przemawia do duszy, — w reprodukcjach fotograficznych.

Zależało, i słusznie, wydawnictwu, ażeby żywot ukazał się jaknajprędzej, by był na czasie; tem należy tłomaczyć niektóre usterki w przekładzie.

Mgr. Olichon. Les Origines Françaises de l'Oeurre Pontificale de Saint-Pierre-Apôtre. Bonne Presse. Paris 5 rue Bayard. — Książka ks. O. należy do najlepszych, jakie w ostatnich miesiącach czytałem. Cenię przedewszystkiem jej wartość psychologiczną. Życie założycielek Dzieła św. Piotra dla wychowania krajowego duchowieństwa napisane z wniknięciem w psyche założycielek, i to subtelnem piórem, serdecznem wyczuciem, jak rzadko. Dzieło to jest bardzo na czasie, gdyż właśnie teraz Tow. ś. Piotra doczekało się w Rzymie ostatecznego zatwierdzenia. W Polsce mamy już centralę Dzieła: Kraków św. Marka 10. Warto tłómaczyć. Byłby to cenny przyczynek dla naszej literatury misyjnej.

Ks. arcybp. de Guebriant zaopatrzył tę piękną książkę w przedmowę, znakomicie przedstawiającą tło dla zrozumienia potrzeby Dzieła św. Piotra Ap. A przez usta te mówi długoletni misjonarz, który zna i kocha misje i pragnie dlań pozyskać cały zespół katolików! *K. B.*

Streit. Die Weltmission der Katholischen Kirche. Zahlen und zeichen. Hünfeld b. Fulda. Missionshaus. — 200 str. 4.80 mk. Jeśli się nie mylę, to w Pro Christo była już mowa o tem niezmiernie cennem dziele podręcznikowem w wydaniu angielskiem. Książka doczekała się tymczasem tłómaczenia na inne języki. Dziś wspominamy o wydaniu niemieckiem. Jak wiadomo, dzieło W. O. Streita jest — Pamiętnikiem Watykańskiej Wystawy Misyjnej 1925 w liczbach i wykresach. Coś podobnego należało zrobić z naszą Powszechną Wystawą Krajową w Poznaniu: Oddać wizerunki, wykresy, zestawienia liczbowe — jako obraz Polski, tak, jak tamto jest najlepszem upamiętnieniem spraw aktualnych całego świata katolickiego! Zbyteczna z osobna polecać! Znaczenie, rozgłos, treść książki mówi za siebie! *K. B.*

Annuaire de l'Association Académique en faveur des Missions. Fribourg. Suisse. Université. 1929 — 108 str. — Zarządem szwajcarskiego Akad. Zw. Misyjn. jest ks. Boscler, regens Salesianum w Fryburgu szwajcarskim. Związek ma grupy przedstawicieli różnych narodowości, więc niemiecką, francuską i angielską. W swoim czasie istniał także sekretarjat polski w Fryburgu. Protektorem i założycie-

lem AKM. szwajc. jest Mgr. Kirsch, znany przyjaciel Słowian i Polaków, dyrektor i twórca chrześcijańskiego Instytutu Archeologicznego w Rzymie W Würzburgu na Zjeździe Misyjnym 1928 dał serdeczny wyraz swoim przekonaniom i zaufaniu do pracy misyjnej naukowej Polski.

Roczniki AKM szwajc. wspominają o stosunku jego z Polską. Oby między naszemi AKM istniała współpraca, nietylko manifestacyjna, ale naukowa.

Publikacje AKM szwajc. są zawsze zajmujące i dają coś niebanalnego. W Roczniku 1929 niema obok innych narodowości wieści o pracy polskiego AKM. Przykro stwierdzić ten brak, albowiem mamy o niem wyobrażenie, że zaprowadzenie ich urzędowe winno było dodać mu życia i rozmachu!...

Rocznik szwajcarski ma przyczynki kilkojęzyczne. Zwykle ogłasza wartościowe wykłady, wygłoszone w ciągu roku, oraz Listy od misjonarzy, opisujące życie misjonarskie specjalnie dla akademików. Dobiera się materjałów tylko wartościowych i pochodzących możliwie z wszystkich części świata.

Zdaje mi się, że ułatwieniem dla pożytecznej korespondencji z misjami byłby kwestjonarjusz ze sprawami, które odnośne zespoły najbardziej zajmują. Trzeba na to nieco skupienia i wiadomości. Ale sprawa warta zachodu. Mówię z doświadczenia. Właśnie jaknajbliższe stosunki, bezpośrednie, z misjami dają materj[illegible] jakie chodzi.

Trzeba się zabrać do studjum języków egzotycznych. Rocznik szwajcarski przynosi w tym względzie ciekawy artykuł z Chin. Dobry, pozytywny początek dla zbliżenia inteligencji europejskiej do „pogańskiej". I listy do misjonarzy mogą mieć cel lingwistyczny: Niech szeroki świat uczy się języków słowiańskich, a my od niego przynajmniej charakterystyki języków egzotycznych. Taka współpraca może sprowadzić zrównanie typu liter i gramatyk.

Rocznik szwajc. przedstawiany jest miejscowej władzy duchownej, błogosławieństwo której widnieje w druku, nadto porusza najważniejsze wypadki z misji i dyrektywy z Rzymu, a zawsze z odnośnikami dla dalszej, samodzielnej pracy. Służyły Rocznikowi także przeważne pióra obce z pośród świeckiej i duchownej inteligencji kraju i zagranicy. Całość składa się na rzecz godną uwagi do współpracy! *K. B.*

W. Piotrowicz. Z zagadnień wyznaniowych w Polsce. Bibljoteka Źródeł Mocy. Wilno 1929. Tom drugi. Drukarnia Lux. Portowa 7. Wilno. Poza dziełem Piekarskiego: Wyznania religijne w Polsce. (Arct w Warszawie), opracowanem ze strony prawniczej, książka Piotrowicza należy do rzadkich przyczynków omawianej dziedziny, która dla ruchu katolickiego dotąd nie posiada kościelnego Biura Urzędowego Statystycznego, jak to ma miejsce już zagranicą. Nie wiemy o istnieniu takich urzędów dla innych wyznań w Polsce.

Charakter książki p. p. jest też historyczno-prawniczy. Czyta się ją z przyjemnością i wdzięcznością za podany materjał o życiu religijnem w Polsce, o którem tak mało wiemy. A jest niezwykle barwne. Podług p. P. (str. V) zagadnienia wyznaniowe w Polsce łączą się ze sprawami narodowościowemi: „Powiązało je życie", Posiadamy w Polsce 8 wyznań i wielką ilość sekt, powstałych z owych wyznań (str. 1.) Są więc: katolicy, prawosławni, izraelici, ewangielicy dwóch odłamów (kalwini i luteranie), muzułmanie, staroobrzędowcy (prawosławni, dop. K.B.) i karaimi (str. 8). Między katolikami w Polsce są obrządki: łaciński, staro-słowiański, grecko-unicki i ormiański. Liczb statycznych dzieło nie podaje prawie żadnych. Nadmienia, że prawosławnych jest w Polsce koło 4 miljonów. (str. 85). Staroobrzędowcy (odłam prawosł.), posiadają w Polsce 52 parafje, wzgl. gminy i 50 tys. wyznawców i zamieszkują na ziemiach Wschodnich. W Warszawie jest 500 staroobrzędowców, (str. 130.) — Muzułmanie — Tatarzy osiedlili się na Litwie za W. Księcia Witolda. Przyczynili się chlubnie do pogromów Krzyżaków. Troki i Wilno stało się ich stolicą w 17 w. było liczono 100 tys. mozułmanów litewsko-polskich. Dziś jest ich 6—7 tys. dusz,

do wojny — 15 tysięcy. Muzułmanie mają w Polsce 19 parafij pod kierownictwem dra. Szynkiewicza, muftiego, osiadłego w Wilnie. Jedna z gmin muzułmańskich jest w Warszawie, inne: 7 Wileńskie, 9 Nowogrodzkie 2 Białostockie (str. 174).

Karaimi są jednej rasy z Żydami, lecz religijnie się dzielą, bo nie uznają talmudu. Podobno przybyli na Litwę za W. Ks. Witolda. Sekta powstała 7—8 w. w Jerozolimie (str. 186). W Polsce mają 4 gminy: Troki, Wilno, Łuck i Halicz, razem 800 dusz. (Str. 189.) Językiem liturgicznym jest hebrajski, a potocznym — karaimski, z grupy języky. tureck. (str. 190).

Liczba sekt w Polsce dochodzi do okazałej cyfry 47! Tylko mała ich część jest uznana przez władze rządowe. „Działalność sekt tych, ujemna z punktu widzenia państwowego i obyczajności publicznej", często łączy w sobie te dwie cechy — antypaństwowe i antymoralne, że trudno przeprowadzić ścisłe rozgraniczenie w ich charakterystyce. Do wydania sądu... stoi na przeszkodzie.. nieuchwytność tych sekt, działających przeważnie niepublicznie, a często świadomie się konspirujących... W działalności swej przejawiają często podłoże seksualne.. Stosunek.. do Państwa, jako regulatora i stróża moralności publicznej i bezpieczeństwa bywa zazwyczaj bardzo niechętny". (str. 202.) „Naogół nie są czynnikiem dodatnim w sensie panstwowo-społecznym. Nieokreślony ich jest stosunek do Państwa, raczej niewyraźny niż lojalny... Działają.. w województwach wschodnich,.. i żerując na organiźmie Cerkwi Prawosławnej". (Str. 204.)

Oczekujemy zapowiedzianych dalszych prac Sz. Autora na obranej niwie. Załączamy prośbę o najnowsze statystyki oraz adresy central i pism religijnych odnośnych wyznań. *K. Berkanówna.*

Rodacy! Nadeszła chwila, w której Opatrzność zezwala nam powetować straty i szkody, jakie wyrządził nam carat na naszych wschodnich ziemiach, odrywając od jedności z Kościołem katolickim i kulturą zachodnią braci naszych — Unitów.

Oczy całe o społeczeństwa polskiego i Kościoła zwrócone są ku naszym rubieżom, którym od wschodu grozi odwieczne niebezpieczeństwo obcej kultury i wiary. Chwila obecna wymaga od nas siły w jedności — jedności przedewszystkiem kościelnej. Zginęła Polska, bo rządy Sejmu i królów nie doceniały dostatecznie nadludzkiego wysiłku, jakiego dokonał ks. Piotr Skarga, stwarzając wiekopomną, świetlanej pamięci Unję brzeską. Podlasie i Chełmszczyzna złożyły dowody, jak trwać i wytrwać należy przy wierze i Ojczyźnie. Męczeństwo Drelowa i Pratulina krwią swoją umocniły wielką ideję ks. Skargi i biskupów unickich — twórców Unji, Terleckiego i Pocieja.

Duchy wielkich świeczników i męczenników Unji, świętego Jozofata i męczenników chełmsko-podlaskich, wołają do Was: Stwórzmy na kresach wschodnich silną ostoję jedności wiary i miłości Ojczyzny.

Dlatego dziś przedewszystkiem zwracamy się do Was, potomkowie Męczenników-unickich bohaterów i do Was Polacy-katolicy z gorącem wezwaniem:

Bracia! Złączmy się i poprzyjmy wysiłki, zmierzające do odzyskania duszy ludu naszego na wschodnich kresach, dawniej Polaków-katolików, obrządku unickiego — ludu, — dziś niestety już obcego nam wiarą i kulturą. Obowiązkiem każdego Polaka-katolika jest przyczynić się, czem kto może do rozszerzenia idei dawnej Unji.

Od kilku lat działa na terenie całej Polski „TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ UNJI", które ma za zadanie zapoznawanie społeczeństwa z historją i wielkiemi celami Unji, oraz spieszenie z pomocą wysiłkom około jej rozwoju i umocnienia w nieskalanej pierwotnej postaci.

Setki Rodaków zaciągnęły się już na całym obszarze Polski do „Towarzystwa Przyjaciół Unji". Brak jeszcze Waszych nazwisk, krewnych i znajomych. Spieszcie więc i Wy do szeregu, zapisując się do „Towarzystwa Przyjaciół Unji", wypełniając deklarację i przesyłając wkładkę członkowską, dołączonym czekiem P. K. O. nr. 405763 pod adresem Zarządu „Towarzystwa Przyjaciół Unji" w Krakowie, ul. Wolska 32.

Zarząd „Towarzystwa Przyjaciół Unji"
Kraków, ul. Wolska 32.

WARUNKI PRENUMERATY „*PRO CHRISTO*":

Kwartalnie	3.—	Rocznie	12—
Półrocznie	6.--	Cena pojed. numeru .	1.—

Zmiana adresu 50 gr.

WARUNKI PRENUMERATY ZAGRANICĄ.

Kwartalnie	4.50	Rocznie	18.—
Półrocznie	9.—	Cena pojed. numeru .	1.70

MY MŁODZI KATOLICY CHCEMY:

1. przyśpieszyć triumf Chrystusa w Polsce na wszystkich polach naszego życia indywidualnego i społecznego;
2. pomnożyć zastępy kapłanów, którzy w pierwszym rzędzie pracują dla Królestwa Chrystusowego;
3. budzić powołania zakonne w celu przeciwdziałania potęgą dziewictwa współczesnej demoralizacji społecznej;
4. przygotować czystych ojców i matki przez pogłębienie w młodzieży życia katolickiego;
5. oczyścić i uświęcić atmosferę rodzinną przez wprowadzenie do niej kultu Najświętszego Serca Jezusowego i życia eucharystycznego;
6. demaskować i zwalczać podstępne usiłowania wrogów zmierzające do podkopania dogmatu katolickiego;
7. zwalczać czynnie wszelkie objawy demoralizacji;
8. współdziałać ze wszystkiemi szlachetnemi usiłowaniami ku wyzwoleniu Polski z pod tyranji żydowstwa i masonerji;
9. stawiać przed oczy wzory wybitnych mężów w Narodzie ku pokrzepieniu serc i spotęgowaniu miłości Ojczyzny;
10. szerzyć wśród inteligencji katolickiej uświadomienie społeczne i zrozumienie konieczności czynnej współpracy z masami ludowemi;
11. czerpać światło i moc z orzeczeń papieskich oraz wskazań Episkopatu polskiego.

Drukarnia Djecezjalna w Łomży